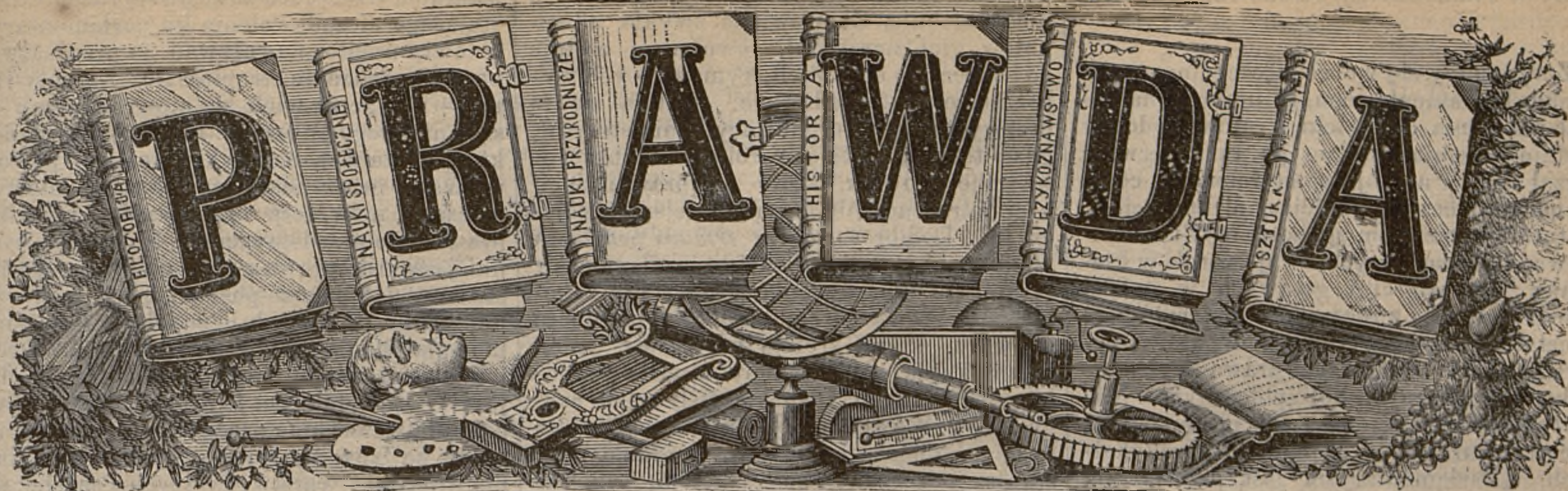
№ 15. Warszawa, dnia 13 (1) Kwietnia 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

PO UCIECZCE.

Jeżeli przykrem dla rzetelnych obywateli kraju musi być spiskowanie przeciw niemu każdej, nawet znakomitej jednostki, to cóż dopiero mówić o podkopach i zamachach warchołów! Na szczęście jednak społeczeństw — tego rodzaju wypadki należą do wyjątków. Niewiele w historyi znaleźlibyśmy obrazów, któreby przypominały bulanżyzm francuski, w których by człowiek lichy, kłamca, przewrotnik, bez charakteru, bez zdolności, bez zasad mógł wstrząsać potężnym i oświeconym narodem a nawet z pewną nadzieją kusić się o najwyższą nad nim władzę. Byłaby to prawie nierozwiązalna zagadka, gdyby nie płynął przez Francyę silny nurt, który miernoty wyrzuca na wierzch, gdyby nie odbywał się w łonie Europy dziwny proces, o którym szczegółowo w dzisiejszym numerze *Prawdy* mówi kto inny. Parlamentaryzm, który był dotąd ideałem i najwyższą formą życia politycznego, zestarzał się, wynaturzył, zaczął jak gąbka wsiąkać w siebie pierwiastki ujemne i wobec trudnych zadań nowoczesnych wykazał nieudolność lub niemoc. Zanim utrapione nim narody wynajdą inną postać maszyny rządzącej, tymczasem gromadzą swe sympatye około pogromców dawnego bożyszcza, chociażby to byli bohaterowie tak mizernej wartości, jak ex-generał francuski, demokrata-arystokrata, republikanin-monarchista, postępowiec-zachowawca, człowiek ograniczony jak maczuga w rozmaitych rękach, które nią wojują. Zbyt wiele zaszczytu robią mu ci, którzy go porównywają z Napoleonem III, człowiekiem małym, chodzącym na szczudłach, ale przynajmniej umiejącym działać i wyzyskiwać okoliczności na własną rękę. O Boulangerze nawet tego powiedzieć nie można. Jest on manekinem, przebieranym w najrozmaitsze stroje i barwy, klinem wbijanym w pień Rzeczypospolitej, czemś, co samo przez się nie myśli, nie pragnie i nie walczy, krzykałą, wynajętym do odegrania roli przywłaszczyciela władzy, którą ktoś inny zagarnie. Rolę tę podejmowali ludzie wielcy i mali osłonięci pozorami wielkości, ażeby jednak w niej występował farsowy warchoł—to w rzeczywistości chyba się jeszcze nie zdarzyło.

Przed procesem i kozą uciekł do Belgii, skąd przysłał „manifest" do narodu. „Francuzi!" — pisze on, jak Bonaparte po swych wielkich zwycięztwach. Ten „manifest" jest nieocenioną perłą mimowolnego humoru naszej epoki, która zdaje się niedługo zgłupieje do reszty. Oddalmy się od niej o lat sto w przyszłość i popatrzmy na ten dziwny widok. W państwie ucywilizowanem, potężnem, mającem pretensyę do pierwszorzędnego znaczenia, człowiek, który niczem się nie odznaczył, nie złożył żadnego dowodu szczególnych uzdolnień, wynicowany, ośmieszony, głupi, przewrotny, może pierwszego dnia zamarzyć o podesłaniu sobie pod stopy całego narodu i do swych przyszłych poddanych odzywać się jak monarcha: „Francuzi!" wkrótce wrócę was w tryumfie, wypędzę i ukarzę tych, którzy wami rządzą i dam szczęście krajowi. Gdyby ktoś usnul tego rodzaju farsę, krytyka oświadczyłaby, że wyszedł po za granice wszelkiego prawdopodobieństwa — a jednakże to widowisko jest rzeczywistem, codziennie przez telegraf całemu światu ogłaszanem. Kiedy ono się skończy? Wtedy, kiedy się skończy nicość i jałowość gruntu, z którego ten dziwoląg wyrósł. Mieszczaństwo francuskie może tego nie widzieć lub nie uznawać, dla głębszych jednak spostrzegaczów nie ulega to wątpliwości, że dla niego bulanżyzm jest wyrokiem śmierci. Jakiegokolwiek losu dozna kult ex-generała, już te bogi, przeciw którym on występuje, na ołtarzu nie zostaną. Boulanger będzie zaocznie skazany, ubezwładniony, zdyskredytuje się, zblaźni, zmarnieje, wszystko to nie utrwali panowania tej czeredy, która z Izby zrobiła sobie giełdę sobkostwa, arenę walki egoistycznych interesów. Dokuczyła ona i obmierzła narodowi, kiedy on powiada: wolę awanturnika, warchoła, nicponia, aby tylko pierzchła ta zgraja wyfrakowanych jarmarczników, którzy myślą jedynie o sobie lub swych towarzyszach, aby tylko zginęły te centra, lewice, skrajne, radykalne, liberalne, umiarkowane, te niezliczone odłamki i grupki, z których każda ciągnie rydwan państwa w inną stronę i posuwać mu się nie pozwala. O ile tedy bulanżyzm był ruchem negatywnym, o tyle pozostanie poważnym i działać nie przestanie zarówno po ucieczce swego sternika, jak i podczas jego bytności na miejscu. Według nas mylą się grubo ci, którzy dziś już zapowiadają koniec wrzenia i ostateczną porażkę ex-generała. On w tym procesie najmniej znaczył, jego więc usunięcie się biegu wypadków nie zatamuje. Parlament francuski albo będzie zupełnie innym, albo wcale nie będzie i ustąpi miejsca czemuś lub komuś odpowiedniejszemu potrzebom czasu. Rochefforty, Andrieux, Cassagnacy, Clemenceau, Laury i inni krzykacze z wyprawnemi gębami, bokserzy gotowi do awantur, wysączyli się już ze swych przymiotów do ostatniej kropki, nic więcej nie zrobią nad to, co zrobili, mogą tylko dalej przeciągnąć tkankę matactw, krętanin, wymysłów, obelg, pojedynków, ale poważnych zadań życia narodu nie rozwiążą, bo o nie nie dbają lub ich nie rozumieją. Po ucieczce Boulangera ani rozumu, ani uczciwości im nie przybędzie.

OBECNE PRZESILENIE PARLAMENTARYZMU.

Znajdujemy się wobec szczególnego zjawiska. Parlamentaryzm, ta upragniona postać rządzenia dla wielu krajów, poddany zostaje w krajach, gdzie po raz pierwszy ujrzał świat i najbujniej się rozwinął, coraz rosnącym i bezwzględniejszym napaściom. Naturalnie, nie mam zgoła na myśli zachowawców, zwracających swój wzrok w kierunku przeszłości i gotowych w każdej chwili wymazać z roczników historyi okres konstytucyi, ani też tych panów, którzy życzyliby sobie ograniczyć prawa wyborcze tylko do nielicznych kół społecznych. Nie! krytyka idzie ze strony grup postępowych, a jeszcze bardziej — od odłamów radykalnych. „Parlamentaryzm jest przestarzałą i już nieodpowiednią duchowi czasu instytucyą!“ — czytamy w ulotnej pracy jednego z wybitniejszych radykalistów Francyi. W tem zdaniu można równie szukać powodu, dlaczego we Francyi różne koła „nieprzejednanych,“ uważając samego Boulangera za politycznego szalbierza i awanturnika najgorszej wody, jednocześnie gotowe go popierać, jako miotłę dla wyrzucenia śmiecia parlamentarnego. Wprawdzie i poprzednio, od czasów najdawniejszych parlamentaryzmu nowożytnego, słyszeć można było różne zarzuty. Ale jakżeż były one łagodnymi, a przedewszystkiem niewinnymi w porównaniu z burzą, srożącą się obecnie. Dość przypomnieć sobie historycznej sławy roztrząsania różnych uczonych statystów, jakby usunąć tę wadę, która sprawia, że mniejszość w społeczeństwie zostaje zupełnie zagłuszona przez większość, tak, iż prawie nie jest w stanie przeprowadzić własnych kandydatów. Znaleźli się technicy społeczni w rodzaju anglika Hare i duńczyka Andrae, którzy dokonali stosownych i przytem nader złożonych zestawień głosów dla usunięcia tej, jak mówili, wołającej o pomstę do nieba niesprawiedliwości. Lecz wszystkie te reformy wychodziły z głębokiej wiary w istotną wartość parlamentaryzmu i usiłowały jedynie znieść pewno wadliwe jego strony. Tymczasem nowoczesna krytyka zupełnie zrywa z tą dawną tradycyą.

Na pozór korzysta ona z zarzutów, które w ostatnich czasach posypały się obficie ze strony ludzi nauki, jak Maine, Laveleye, Herbert Spencer. Czy obecny parlament posiada jakiekolwiek głębsze uzdolnienia ku zajmowaniu się różnemi sprawami, wchodzącemi w jego zakres? — pyta ona. Odpowiedź naturalnie musi wypaść bardzo niepochlebnie. Zbiorowisko zwykle adwokatów, giełdziarzy itd. powołanem zostaje do sądzenia o sprawach, wymagających wykształcenia zawodowego. Odbija się to przewybornie w organizacyi ministeryów, gdzie tekę ministerską rolnictwa może otrzymać człowiek, który o uprawie ziemi i jej potrzebach nie ma najmniejszego pojęcia itd. Lombroso w *Tre tribuni* przytacza wymowne dowody nieuctwa parlamentów w sprawie unicestwienia pelagry lub zapobieżenia szerzeniu się cholery i przytacza uchwały, które zresztą przyniosły jeden tylko skutek — pochłonęły mnóstwo środków pieniężnych i sprowadziły wiele bazgraniny. Wówczas gdy na każdym kroku życia społecznego wyrasta żądanie, aby sprawy poruczono specyalistom, tymczasem parlamenty są wolne od tego obowiązku i jakiś prawnik, umiejący tylko dobrze naciągać brzmienia kodeksu według potrzeby, nagle staje się człowiekiem do wszystkiego — rozstrzyga o przyjęciu takiego lub innego systemu broni palnej, zarządza sprawami marynarki, rozprawia o środkach sanitarnych. Samo parlamenty pod wpływem składających je żywiołów zamieniły się w rzeczywiste „gawędzarnie,“ „assemblées parlantes,“ jak z przekąsem wyraża się jeden z nowoczesnych krytyków, niejaki Laverdays. Zresztą ta istotnie skandaliczna strona życia parlamentarnego dostatecznie jest znaną. Ważniejszym jest inny zarzut, iż parlament jest widownią bezustannego przeniewierstwa. W tym punkcie srożąca się krytyka zrywa sojusz ze Spencerami i Laveleyeami i podąża dalej, przynajmniej tak daleko, iż zupełnie odrzuca życie parlamentarne. Wyborca, ufając przyrzeczeniom kandydata, daje mu głos. Lecz po dokonaniu wyboru ustaje wszelka łączność i zależność pomiędzy nimi. Przedstawiciel, przez cały czas trwania mandatu, może przeniewierzać się codziennie swojemu słowu — wyborca względem tego postępowania nie posiada żadnej rękojmi. Na tym podkładzie wznosi się druga potworność. Tumanienie warstw wyborczych stało się zjawiskiem tak zwykłem (np. we Francyi), iż robotnik dosłownie przestał wierzyć, jako drogą parlamentarną może uzyskać polepszenie swej niedoli. Karki ludu są tylko szczeblem dla wejścia do Izby i sprzedania swego głosu możnowładcom plutokratycznym. Najbardziej palące sprawy odłożone zostają na bok, interesy zaś warstw kierujących, giełdy i przemysłu wysunięte na plan pierwszy. Właśnie w tych ostatnich względach zawiera się rdzeń wzrastającego niezadowolenia ku parlamentaryzmowi i źródło nawoływań, iż przedstawia on już urządzenie strupieszałe. Zarzuty inne — np., że za wiele się mówi w Izbach — są mniejszego znaczenia i nawet, jak w niektórych stanach Ameryki północnej, powoli usuwane przez nastający zwyczaj niewygłaszania mów, lecz drukowania i rozsyłania reszcie przedstawicieli. Natomiast trudniejszą jest sprawa z dyletancką „wszechstronnością“ panów posłów, gdyż zaradzenie złemu już wywołuje zupełnie inną formę załatwienia spraw społecznych. Lecz i ta strona ustępuje przed zaznaczonym objawem sprzedajności i równolegle szerzącem się wśród klas pracujących przekonaniem, że Izby są tylko widownią obrabiania interesów warstw wyższych i szacherek pomiędzy różnymi odłamami klasy posiadającej. Właśnie w tem zdaniu spoczywa zagadka powodzenia bulanżyzmu. Nie wolno bowiem zapominać o zupełnie innym wyglądzie tego prądu w porównaniu z dążeniami plebiscytowemi „małego Napoleona.“ Te ostatnie opierały się na kołach wiejskich i miały przeciwko sobie tłumy miejskie, bulanżyzm tymczasem cieszy się niezwykłem uznaniem wśród „bluz,“ które dotychczas dobitnie i namacalnie wypowiadały się za parlamentaryzmem. Słowem, kwestya parlamentaryzmu zchodzi już z gruntu teoretycznych zaciekań i niewinnych poprawek, na którym mogłaby się ciągnąć całe wieki bez doznania najmniejszych przeszkód, i wkracza na drogę bardzo niebezpieczną dla siebie — interesów klasowych. Grupy robotnicze Francyi, Szwajcaryi i Ameryki, krajów, w których urządzenia parlamentarne ogarnęły najszersze koła społeczne, stawiają przed sobą zagadnienie, czy obecny parlamentaryzm odpowiada ich interesom, i dochodzą do odpowiedzi przeczącej; pytają dalej, czy istnieje jakakolwiek nadzieja zmiany w tej mierze i odpowiadają w podobny sposób. Niechęć powyższa wypływa na jaw w rozmaitej postaci. W Ameryce Północnej, wśród odpowiednich kół społecznych, szerzy się poczyna tak zwana „wstrzemięźliwość“ polityczna i to już nie jako nastrój oddzielnych jednostek, lecz jako paragraf programu partyjnego. „Niechaj robią, co chcą w parlamencie!“ We Francyi znowu wypływa w formie popierania szalbierza awanturniczego. „Być może, coś z tego będzie.“ Naturalnie, takie powstrzymanie się lub pokładanie ufności w przypadku nie

---

FRAGMENT.

Skoro wracam między ludzkie duchy, wnet czuję się jakby prowadzonym na stracenie, gilotyną mi się staje moralną każdy bliźni mój...

Zyg. Krasiński.

Gdy istoty — do których ku wielkiemu żalowi mojemu należałem — spotykały się ze mną na wspólnej ścieżce życia, czułem natychmiast, że spadam do ich poziomu i znowu stawałem się — gliną...

Manfred—Byron.

...W poczuciu swej wyższości duchowej, życiem pracy i myśli zdobytej, w gorącem umiłowaniu wolności, której świetlany ideał kaziły mu przesądy społeczne i towarzyskie, znużony przesytem powtarzających się z ogłupiającą jednostajnością czynów, cofnął się, hardy i dumny, między cztery ściany swego zacisznego pokoju i oddzielił murem obojętności i pogardy od swego dawnego otoczenia. Poznał bowiem, że mu serce zamiera a myśl karłowacieje w dusznej atmosferze powszednich praw życiowych, które, zimne, surowe i nieubłagane, w zamian za ślepe posłuszeństwo, dają tylko nudę i półsenne odrętwienie, i z budzącem się wśród licznego grona przyjaciół i towarzyszy, bolesnem i gorzkiem uczuciem pustki, rozwinął w sobie skłonność do refleksyjnego życia, a z nią subtelną i wyrafinowaną wrażliwość, moc odczuwania i analizowania swych porywów rozkoszy i dreszczy zrozpaczenia. Wtedy ujrzał się samotnym, samotnym wśród sceptycznych uśmiechów przyjaciół, chłodnych dłoni towarzyszów pracy i uścisków kobiety ukochanej, samotny, z sercem pełnem miłości, z zapałem do czynu, z gorącem pragnieniem urzeczywistnienia wszystkich swoich ideałów prawdy i dobra, a własna, osamotniona dusza wydala mu się arfą cołską, drgającą ruchem i życiem całej ludzkości, a skazaną przez brutalną potęgę zwyczaju i przesądu na wieczne odosobnienie i grozę niemego cierpienia...

* *
*

Pragnienie rozkoszy i piękna upaja i nasyca, jak piękno i rozkosz sama, wspomnienie dobra i szczęścia ma nieraz cały urok prawdy, a samotność, życie wyobraźni, zawicra w sobie dla organizacyi wyższych czar daleko silniejszy, od zadowolenia żądzy...

Rousseau opowiada w swoich *Zwierzeniach* o człowieku, który uciekał od kochanki w chwili najgorętszych uniesień miłosnych, aby w samotności o niej myśleć lub do niej pisać... Ciało nasze ma swe żądania, zmysły domagają się praw swoich, ręka szuka uścisku ciepłej dłoni, oko goni za widmem piękna, usta drżą pragnieniem pocałunku, a dusza ludzka łaknie moralnej pieszczoty duszy bratniej. Lecz mowa, zapomocą której istoty myślące porozumiewają się z sobą, istnieje tylko prawie dla potrzeb codziennego, powszedniego życia, i wobec tysiąca odcieni, uczuć i wrażeń naszych, potrafi jedynie grubsze i pośledniejsze obrazować, tak, że wszystkie nasze najsubtelniejsze porywy, najgorętsze rzuty naszej krwi, najwznioślejsze błyski naszej inteligencyi, zakrywa owa tajemnicza i mistyczna zasłona, pod którą harde i wstydliwe serca pielęgnują swoje wielkie radości i palące bóle. A człowiek, gdy zamiast bratniego słowa słyszy dźwięki obojętne i puste, zamyka się sam w sobie i tworzy, w niedostępnym dla zwyczajnych pojęć życiowych zakątku, własny, wewnętrzny świat myśli, kędy wolny od fałszu i obłudy krzesi w sobie iskry prawdy nieskończonej...

* *
*

mogą zadawalać świadomszych i wykształceńszych rzeczników stanu czwartego. Zwątpiwszy o skuteczności parlamentaryzmu, poszukują oni bardziej określonych dróg wyjścia. Nie mogą w żaden sposób poprzestać na czysto przeczących zarzutach jakiegoś Laverdaysa i na pogardliwem zachowywaniu się względem nowoczesnych prawodawczych „assemblées parlantes.“ A zatem zaczynają szukać czegoś nowego. Wzorów dostarcza poniekąd tegoczesna Szwajcarya, inne żądania zjawiają się znowu w miarę rozwoju życia klasowego. Samo zagadnienie zostaje postawione, że tak powiem, na ostrzu miecza. Wszystko sprowadza się do rozwiązania pytania, jaka postać prawodawczej politycznej natury odpowiada najlepiej dążeniom stanu czwartego ku wyzwoleniu. Słowem, sprawa parlamentaryzmu zjawia się jako sprawa interesu klasowego i właśnie w tym fakcie tkwi cała doniosłość obecnego przesilenia parlamentarnego.

Ciekawą byłoby rzeczą skreślenie tych powstających i wykluwających się żądań. Nie zostały jednakże one wypracowane. Jedyną książką, najjaśniej się wypowiadającą w tej mierze, przynajmniej z pośród mi znanych, jest spore dzieło fabrykanta-filantropa Godina, *Państwo, jakiem jest i jakiem być powinno*. Lecz i w niem wiele zostaje niedomówionem. Pewnych wreszcie wskazówek udziela prawodawcza działalność zbuntowanego Paryża z pierwszych dni kwietnia 1871 r. Z tego powodu czytelnik niech ode mnie nie spodziewa się ścisłego i związanego przedstawienia rzeczy, gdyż takiego niema i wśród krytyków. Są tylko pojedyncze żądania i niezwiązane życzenia. Ze wszystkiego jednak widać, ża ostatecznym celem tych dążeń jest rozszerzenie na wielką skalę istniejącego już do pewnego stopnia w Szwajcaryi bezpośredniego prawodawstwa ludowego wraz z koniecznem uzupełnieniem — rozdziałem kraju na autonomiczne kantony, tych zaś — na gminy. Gmina, kanton, kraj są ogniwami, załatwiającemi samoistnie odpowiednie sprawy. Pierwsza stanowi wzór, według którego kształtuje się ustawa drugiego i trzeciego. Jej interesami zarządza rada, wychodząca z wyboru, lecz w każdej chwili odpowiedzialna przed wyborcami. Zakres jej działalności czysto wykonawczy i zarazem dozorczy. Mianowicie pod jej bacznością znajdują się wszystkie specyalne urzędy gminy — lekarskie itp. Pod względem prawodawczym winna ona wnoszone projekty oddawać pod głosowanie powszechne członków gmin. Ci ostatni posiadają jeszcze dalsze prawo, mianowicie, jeżeli wejdzie do rady petycya, podpisana przez wymaganą ilość głosów, a dotycząca strony prawodawczej, wnoszona kwestya powinna zostać zredagowaną przez radę i oddaną znowu pod głosowanie powszechne. Słowem, ustawa gminy opiera się na tak zwanych „inicyatywie“ i „referendum.“ W podobny sposób zbudowane są ustawy kantonalne i ogólno-krajowe. Zamiast parlamentu ukazuje się rada, która posiada prawo dozorowania urzędów zawodowych, zastępujących obecne ministerya i nadto posiadających w pewnej mierze zakres działania obecnych Izb itd. Lecz władzy prawodawczej jest ona pozbawioną — wszystkie jej uchwały winny iść pod głosowanie powszechne obywateli kraju, którzy ze swej strony drogą „inicyatywy“ mogą ją zmusić do redagowania nowych ustaw, naturalnie przechodzących znowu pod rozpatrzenie ogółu. Taką jest myśl przewodnia krytyków parlamentaryzmu. Najciemniejszą dotychczas stronę stanowi stosunek rady i społeczeństwa do owych urzędów zawodowych; zauważymy jedynie, że obok powyższych żądań stawia się jeszcze jedno—wybieralności wszystkich urzędników. Naturalnie, żądane zmiany nie ograniczają się tylko do wyżej przedstawionych. Między innemi znajdujemy bezpłatne urządzenia szkół od najniższych do najwyższych, oparcie wykładów na wolnem bezegzaminowem słuchaniu, lecz natomiast wprowadzenie egzaminów zawodowych przed objęciem jakiegoś publicznego stanowiska, uprywatnienie religii i związku małżeńskiego, lecz podniesienie praw społeczeństwa względem potomstwa, powszechne uzbrojenie i zastąpienie wojska gwardyą narodową itd. itd.

Usiłowaliśmy przedmiotowo skreślić obecny stan rzeczy. Przedstawienie czytelnikowi źródła, być może, często niepojmowanego obecnych napaści na parlamentaryzm, wyświetlenie mu znaczenia tego faktu, takiem było nasze zadanie. Po za nie nie wychylaliśmy się. Jakeśmy widzieli, powstawające przesilenie jest bardzo poważnej natury. Nie idzie tu już o zarzuty teoretyczne. Wszystko sprowadza się do tego, że stan czwarty zaczyna widzieć w parlamentaryzmie urządzenie klasowe i poszukiwać innej formy politycznej, która lepiej odpowiadałaby jego zamiarom i widokom, umożliwiła mu dyktaturę klasową i w ciągu dalszym zmiany głębsze w ustroju społecznym.

K. R. Żywicki.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bismark dawno już wynalazł bardzo prostą maszynkę do wyważania ministrów: któremukolwiek ze swych podwładnych każe zaatakować ostro w parlamencie swoją ofiarę i — skutek niezawodny. Obrażony bowiem minister idzie natychmiast do cesarza i oświadcza: albo ja, albo on. Cesarz radzi się kanclerza, który powiada: on. I sprawa skończona. W tygodniu ubiegłym uchwycono kleszczami i wyciągnięto ministra komunikacyi Maybacha. Ni stąd ni z owąd wydrwił go podsekretarz stanu Stephan (poczta). Naturalnie nie pozwolił on sobie tej przyjemności z własnego humoru i kaprysu, lecz otrzymał *suggestyę*, był tylko piszczałką kobzy, przyprawioną do ukrytego miecha. Jeszcze urzędownie nie ogłoszono dymisyi Maybacha, ale nikt nie wątpi, że on znajduje się „z brzegu.“

Może ustąpi miejsca jakiemuś centrownikowi? Znowu bowiem rząd zbrzydził sobie narodowo-liberałów i znowu pragnie w parlamencie skleić centrum (katolików) z konserwatystami dla utworzenia sobie większości. Gdyby nie stary Windhorst, który powagą swego wpływu i zasług trzyma ultramontańską rzeszę na stanowisku niezależnem, przynajmniej część jej już dawno przewędrowałaby do obozu Bismarka pod dowództwem któregokolwiek z pobożnych feudałów. Na obiedzie u kanclerza cesarz wręczył osobiście order jednemu z tych panów szkaplerzowych, bar. Hüne, a może — jeśli układy dobrze pójdą — powierzy jemu lub innemu z tej chorągwi tekę ministeryalną.

Zakaz dalszego wydawania *Volkszeitung* zniesiono. Ale to znaczy tylko, że oswobodzono jednego, osadzonego na szpilce robaka, nie zrzekając się zamiaru wytępienia wszystkich. Do parlamentu nie wniesiono jeszcze uzupełnień kodeksu, które mają zastawić mordercze żelaza na socyalistów, postępowców, świadomych i nieświadomych zdrajców stanu w rodzaju Geffckena; projekty wszakże w tym względzie są wygotowywane i niezadługo ujrzą światło dzienne. Przynajmniej prasa, która ma dostać kółka przeciągnięte przez wargi, nie przestaje drżeć i wzywać na pomoc wszystkich instancyj kultury, z których Bismark zwykle najserdeczniej się śmieje.

Król holenderski kona od wielu miesięcy i nie może umrzeć. Wyznaczono mu zastępcę, ks. Nassauskiego, który już objął rządy.

Nie cofnął się od świata i ludzi młodzieńcem, kiedy butne i pyszne serce, niezadowolone z darów młodości, dąsa się na życie, ani starcem steranym, przeżytym, ale odszedł dobrowolnie od zastawionej uczty życiowej, odepchnął czarę pełną jeszcze szumiącego wina, bo mu grono współbiesiadników obcą się zdawało gromadą, a na dnie puharu, zamiast upojenia, znalazł tylko lichej rozkoszy męty... A jednak oddał życiu to, co miał w sobie najszlachetniejszego... Młodzieńczy swój zapał poświęcił wielkiej, przegranej sprawie; potem, zdobyte długoletnim pobytem na obczyźnie skarby wiedzy i doświadczenia zużytkował w rozumnej i serdecznej pracy; ale gdy skrystalizowane nareszcie zdolności umysłowe, głębokie, moralne poczucie i szlachetne popędy rozbrzmiały w jednym, wielkim hymnie wszechmiłości — zaczęła mu się u stóp rozwierać głęboka przepaść, odbijająca w sobie echo rozdźwięku między jego pragnieniami i celami, a otaczającym go światem. Ze wspólnego ołtarza, gdzie on z jednej, a współbracia jego z drugiej strony składali ofiary, wszechpotężne bóstwo, zwane opinią publiczną, nie przyjęło łaskawie jego daniny, chłoszcząc ją nawet klątwą ironii i sarkazmu. Dym pustych frazesów i czczych komunałów wspiął się zwycięzko do góry, a jego krwawa ofiara otarła w ciszy zaledwie kilka łez i rozgrzała na uboczu kilka serc łaknących...

I dziś, w ciszy swego pokoju, otoczony książkami i arcydziełami sztuki, wśród których czuł się sobą, myślał z pogardą w zmrużeniu szafirowych oczu o marności życia światowego, z całą jego fałszywą powagą w sądach o najważniejszych kwestyach społecznych, z bezdusznym indyferentyzmem dla prawdziwej zasługi lub prawdziwego cierpienia, z jego hałaśliwym zgiełkiem urzędowej filantropii i błyszczącą banalnością zabaw i widowisk. Wśród różnobarwnego tłumu, kędy biegł nieraz po uśmiech wesela, po słowo bratniej zachęty, lub któremu przynosił łzę litości i pomoc ciepłej szczodrej dłoni — za wrażliwy, aby jego radości nie odczuwać, za szlachetny, aby jego bólów nie opłakiwać — znajdował się zawsze osamotnionym; ani jeden umysł męzki nie wniknął w tajniki jego myśli, ani jedno serce kobiece nie zabiło w takt jego gorącego serca, a zadzierzgnięte między jego wrażliwą duszą a społeczeństwem, węzły rwały się i targały co chwila, raniąc go w najlepszych, najtkliwszych uczuciach...

Spokój rozmarzającego półmroku, zaludniły mu — czcicielowi piękna—widma kobiet spotkanych i kochanych w życiu; ujrzał je wszystkie, ich spojrzenia i uściski, oczy czarne, zalotne i ciekawe, inne smutne, niebieskie, z których łzy gorące na ręce mu spływały, inne znowu o stalowym, z zapalającą się w nich iskrą namiętności, blasku, a wszystkie obce, a w żadnych nawet cienia pokrewnego sobie ducha ukochać nie mógł... Irena, ta najpiękniejsza z nich, najpowabniejsza, najlepsza, rozumna, słodka towarzyszka życia jego—czyż mu nie przyniosła tego samego rozdźwięku i gorzkiego zawodu? Jakże poszarpanym był łańcuch miłości, który go niegdyś do tej ukochanej przykuwał! Jakże bolesnem było mu wspomnienie chwili, gdy w wybuchu namiętności obnażył przed nią swą duszę, gdy ufny i upojony wszechpotężnym czarem, oddawał się jej cały, wierząc, że w każdym gorącym pocałunku ust cząstkę jej duszy przejmuje, a z każdem tchnieniem część swej wewnętrznej istoty jej oddaje! Dziś obcą mu była...

* * *

Otworzył drzwi do przyległego pokoju i ujrzał ją powabną i uroczą, jak w pierwszych chwilach ich miłości, gdy w sercu dziewczęcia chciał odszukać echo swych pragnień i uczuć, zbudować w niem ołtarz najserdeczniejszych swych wierzeń. Dziś czar się rozwiał — obcą mu była... Miłość w mgłach i obłokach spowita żyje lata

Prędzej załatwił się ze śmiercią władca abisyński Jan, niegdyś słynny reformator, potem okrutnik, znienawidzony przez prawowiernych i liberałów, postać dziwna i ciekawa, godna pióra powieściopisarskiego.

Stanley znowu dał znak życia. W liście z sierpnia r. z. opisuje on swój straszny i wyniszczający pochód przez lasy afrykańskie oraz spotkanie z Eminem baszą, który wytworzył sobie dość pokaźne państewko i opuszczać go nie chce. Stanley wyruszył dla odszukania i uratowania tego podróżnika, znalazł go zaś w dobrobycie i bezpieczeństwie, podczas gdy sam ledwie ocalał ze swym orszakiem. To daje powód prasie niemieckiej do drwin— bardzo charakterystycznych. Śmieszy i cieszy ją to, że zbawca zamienił się na zbawionego i zamiast nieść pomoc Eminowi, musiał korzystać z jego opieki i zasobów. Czyż to nie wesołe — dla niemca? Ponieważ zaś żyd szląski, chętnie potem przyjęty na łono Germanii, posiada teraz w Afryce siłę, więc jej dzieciaczki roją o połączeniu się jego z kapitanem Wissmanem, który burmistruje na wybrzeżu wschodniem i odbudowywa z gruzów kolonizacyę rozpędzonego i zbankrutowanego Towarzystwa. Kto wie jednak, czy Emin nie zatracił w swych wyprawach patryotyzmu pruskiego (jeśli go kiedykolwiek miał) i czy nie zamierza wytworzyć sobie na gruncie afrykańskim własnego państewka bez Bismarka w herbie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 6 kwietnia.

Rozprawa nad wnioskiem Lichtensteina: przemowa Rutowskiego i Bobrzyńskiego. — Głosowanie nad ustawą wojskową w Budapeszcie. — Smolka o dyskusyi antisemickiej. — Walne zgromadzenie Towarzystwa Biblioteki polskiej. — Sprawozdanie z działalności Biblioteki z roku ubiegłego. — Odczyty dr. Alfreda Nossiga i barona Gostkowskiego. — Zapowiedź gościa do Warszawy.

Przemowa posła Rutowskiego, który zabrał głos w dyskusyi o szkole wyznaniowej, roznamiętniającej parlament austryacki, po dzielnem wystąpieniu młodo-czecha Gregra, nie miała cechy śmiałej obrony zagrożonych haseł oświaty i postępu, lecz poprzestawała na zaznaczeniu wyjątkowego stanowiska Galicyi wobec reformy szkolnictwa. Odznaczała się ona jednak dwoma ustępami, które, wypowiedziane w parlamencie austryackim, miały donioślejszą wagę. Rutowski przedstawił naprzód dawniejsze rządy niemców w Galicyi, wykazując, że prowadzono gospodarkę wprost rabunkową. Dlatego dziś szkolnictwo tak powoli tam się rozwija, że ogromne sumy pochłania budowa gmachów, poprzednie pokolenia bowiem, nie wkładająco w nie ani grosza, przemieniały tylko na szkoły stare budynki po-pijarskie i po-jezuickie. Nie lepiej postępowano z obszarami niegdyś koronnymi lub należącymi do funduszu religijnego: rozprzedawano je spekulantom za bezcen, biorąc za hektar 8—25 złr. I dziś jeszcze Galicya upośledzona jest pod wielu względami. I tak w niektórych krajach korony austryackiej przypada jeden poseł na 39,000 mieszkańców, w Galicyi na 95,000. Przechodząc do szkolnictwa, domagał się mówca utworzenia wydziału lekarskiego we Lwowie, dowodząc, że Galicya posiada największą liczbę śmiertelności, a stosunkowo najmniejszą ilość lekarzy; że zwłaszcza rusini cierpią na tem bardzo; w Krakowie słucha medycyny zaledwie 30 rusinów, w Wiedniu 23. Z 333 medyków galicyjskich, uczęszczających na wszechnicę tutejszą, tylko 162 przyznało się do polskości, reszta składa się zapewne z izraelitów, którzy przybywszy do Wiednia, zostają niemcami. Brak fakultetu medycznego we Lwowie szkodzi więc i interesom politycznym ludności polskiej. Smutniejsze jeszcze są stosunki Galicyi co do szkół średnich; podczas gdy w Czechach wypada jedna na 73,000 mieszkańców, w Galicyi — na 192,000. Wreszcie przeszedł Rutowski do szkół ludowych i szkoły wyznaniowej, projektowanej przez ks. Lichtensteina. Przypomniał posłom niemieckim, że polacy jeszcze przed stu laty zdobyli się na wzorową organizacyę szkolnictwa ludowego, wyprzedzając Terezyańską normę dla szkół ludowych. Przedstawiwszy usiłowania komisyi edukacyjnej, oraz późniejsze prace w tym kierunku na obszarze ziem polskich, dowiódł, że polacy mają odrębne swe, zaszczytne tradycye na tem polu i że zgodzą się na każdą ustawę, która pozwoli Galicyi zająć się samoistnie urządzeniem swego szkolnictwa. Stosunek wiary do oświaty, wyznania do szkoły, tylko kraj sam uregulować potrafi tak, jak jego interesy tego wymagają, zwłaszcza w Galicyi, gdzie obok ludności polskiej żyje ruska i wzrastająca szybko żydowska, szkoła jest nietylko środkiem cywilizacyjnym, ale dźwignią interesów politycznych, a następnie i ekonomicznych i dlatego posłowie galicyjscy zgodzą się na reformę, przyznającą im samorząd w szkolnictwie.

Ostatni głos w rozprawie o centralnem kierownictwie nauki miał poseł Bobrzyński, jako referent odnośnego punktu budżetowego. Wprawdzie i on, zaznaczywszy, że liberalizm polski inne ma cechy, aniżeli niemiecki, twierdzi, że dla polaków i czechów oświata ludowa jest kwestyą bytu i że niema ceny, za jaką zgodzić by się mogli na obniżenie jej poziomu, bądź to na żądanie rządu, bądź to pod naciskiem wywieranym przez sojusznika politycznego; jednak nie pojmuje on wniosku Lichtensteina w ten sposób, jak stronnictwo liberalne, a wraz z niem poseł czeski Gregr. Nietylko więc p. Bobrzyński nie poszedł w ślady Gregra, ale udzielił mu poniekąd napomnienia w imieniu prawicy, do której należy. Dr. Gregr — według niego — uwierzył w dyabła namalowanego przez liberalnych centralistów i wypuścił przeciw niemu potok wymowy, czem zaskarbił sobie wdzięczność tych, których głównym celem jest zwalczanie autonomii narodowej i czeskości. Bobrzyński zwraca uwagę na różnicę, zachodzącą między pierwotnym wnioskiem Lichtensteina, wyrażonym niefortunnie, a komentarzem ustnym, zawartym w jego przemowie. Prawica zgadza się na ten wniosek dlatego, że przeprowadzenie jego połączone jest nie z ograniczeniem, ale z rozszerzeniem samorządu krajów; Galicya zaś stanowi najlepszy przykład, że w drodze ustawodawstwa krajowego szczęśliwie pokonać można na polu szkolnictwa największe trudności, wynikające ze splątanych stosunków politycznych. Życząc i innym krajom korony austryackiej podobnie szczęśliwego załatwienia tej sprawy, zwrócił się profesor Bobrzyński do rządu z wezwaniem, by objął przewodnictwo z jasną świadomością celu.

Dzienniki wiedeńskie, rozbierając mowę Bobrzyńskiego twierdzą, że łatwo mu zgodzić się na szkołę wyznaniową, kiedy według słów Lichtensteina nie rozciągnie się ona na Galicyę i że liberalizm polski ukazał się tu zupełnie innym, aniżeli niemiecki. Być może, że egoizm narodowy uprawniony jest w tej walce parlamentarnej, staczanej przez żywioły obce sobie a związane tylko wspólnym ustrojem państwowym; jednak ze stanowiska nie specyalnie „polskiego liberalizmu“ istotnie strach pomyśleć o skutkach szkoły wyznaniowej dla oświaty ludu, kiedy już sama agitacya w tej sprawie wzmacnia zabobony ludu, co ilustruje fakt następujący. Podczas obrad nad wnioskiem Lichtensteina, agitatorowie klerykalni, dziennikarze i duchowni, pragnąc pozyskać lud dla wniosku, rozszerzali dawne oszczerstwo o wolnomularzach, pod których wpływem znajdować się ma szkoła obecna. Pewnej niedzieli przybyły do Lincu dwie chłopki z okolicy, szukając świątyni wolnomularskiej, która stać ma w pobliżu dworca kolejowego, jak je poinformowano. Zapytane, czego chcą od wolnomularzy, odpowiedziały, że we wsi ich żyje bogaty kmieć, który majątek swój zawdzięcza wolnomularzom; za to zrzec się musiał wiary swej i podpisać krwią cyrograf. Żyjąc w nędzy, i one dusze swe zapisać chciały wolnomularzom, o których wprawdzie straszne opowiadają im rzeczy, ale którzy płacą porządnie. Nie znalazłszy owej świątyni, biedne kobiety wrócić musiały do wioski rodzinnej. W Wiedniu zaś przyjęto punkt budżetowy o głównem kierownictwie oświaty — po przemowie Lichtensteina — 153 głosami przeciwko 89.

Równocześnie niemal odbyło się głosowanie w Budapeszcie. Po namiętnych sporach przyjęto nową ustawę wojskową ze stylistycznemi jedynie zmianami większo-

---

i wieki; wtedy jest albo poetycznem marzeniem, mrzonką wyobraźni i cieszy się swemi złudzeniami, albo potrzebą krwi zadawalaną zmysłową rozkoszą. Ale gdy mgły opadają, a na miejscu rozmarzenia i namiętności ukazuje się rzeczywistość — życie, człowiek pragnie i łaknie wspólności myśli, wiary i ideałów i czarowny gmach na niepewnym gruncie wzniesiony rozpada się, niszcząc i druzgocząc wszystko, a szczególnie łatwowierne serce, które w wieczność uczucia wierzyło... Obcą mu była dziś zupełnie; wielką ich namiętność nie zniszczył przesyt, ale zobojętnił rozdźwięk duchowy. Irena w objęciach jego nie odczuła gorączki palącej mu krew i mózg, a on nie potrafił wnikać w pogodę jasnej i czystej jej duszy.

Jeszcze był opętany całym urokiem miłości, gdy spostrzegł pierwszy raz w oczach Ireny nienawistne widmo, które miało ich na wieki rozłączyć; było to w Wenecyi, siedzieli na balkonie jednego ze starych pałaców na Canale Grande, zapatrzeni w noc gwiaździstą i sierp księżycowy, wznoszący się nad kopułą Santa Maria della Salute, wsłuchani w namiętne tony śpiewanej w oddali włoskiej serenady; ta pieśń grała mu jeszcze dziś w uszach swym fałszywym zgrzytem, bo przypomniał sobie, jak na tle jej obcym mu się wydał promień błękitnych źrenic Ireny, jak obcymi były mu dźwięki i wyrazy z ust ukochanych płynące... Spojrzenie, które nas dotknęło swym chłodem, zostaje na wieki w siatkówce oka wyryte, słowa, co nas bolesnie zraniły, wypalają się ognistymi znakami na sercu, i od tej gwiaździstej nocy w Wenecyi dusza jego zamknęła się przed nią i skryła zazdrośnie swe skarby miłości i tęsknoty, lękając się tego niezapomnianego wzroku i tych niezatartych wyrazów... Wtedy dojrzała w nim gorzka, bolesna pewność, że jest skazanym na wieczną samotność...

Dziś patrzył już na Irenę ze spokojem i poddaniem się, czoło tylko pofałdowało mu się głęboką bruzdą, odwrócił oczy i skierował je bezwiednie na bielejące na ciemnem tle pokoju starożytne popiersie jednego ze sceptyków greckich, i przeszła mu wtedy myśl przelotna, że między nim a tą rzeźbioną bryłą istnieje duchowy związek silniejszy nad spójnię, jaką na pozór kojarzyło go przez lata z piękną i ukochaną kobietą...

Jadwiga Krausharowa.

ścią 109 głosów. Kiedy przewodniczący rezultat ten ogłosił, lewica wołała oburzona: wstyd i hańba!.. zdrada ojczyzny!.. Podczas głosowania odbywały się sceny, jakich parlament węgierski pono jeszcze nie widział. Baron Ivor Kaas, głosując przeciw ustawie, dodał: nie głosuję przeciwko ojczyźnie! Geza Palonyi zawołał: nie głosuję za zdradą! Większość domagała się przywołania obu do porządku. Kiedy Tisza zjawił się w sali dla oddania swego głosu, przywitano go ironicznie, wołając po niemiecku: „niech żyje!“ Obecnie w parlamencie węgierskim zapanował względny spokój. W austryackim zaś antisemici przygotowują jeszcze burzę przy sprawdzaniu wyboru posła kołomyjskiego rabina Blocha. Jeno że w Wiedniu usposobienie Izby nigdy nie dochodzi do owego stopnia napięcia gorączkowego, jak w Budapeszcie, a przedmioty, które rozbudziéby mogły namiętności, nieraz dobry żart pozbawia ostrza. I tak całej oczekiwanej rozprawie antisemickiej przewodniczący Smolka wycisnął piętno komiczności, odpowiadając na interpelacyę Kaisera, żądającą wprowadzenia tej dyskusyi na porządek dzienny: „Najpierw interes, potem zabawa!“

Sprawy parlamentarne tak wypełniały ramy ostatnich moich listów, że dziś dopiero zanotować mogę, co w ostatnich tygodniach ważniejszego zaszło wśród kolonii polskiej w Wiedniu. Na pierwszem miejscu zapisać mi wypada walne zgromadzenie Towarzystwa biblioteki polskiej, na którem wydział ustępujący składał sprawozdanie ze swych czynności w drugim roku istnienia. Towarzystwo to, pod przewodnictwem Jerzego ks. Czartoryskiego, a za głównem staraniem profesora S. Nowińskiego i dr. S. Kłobukowskiego, działało przez rok ten wzorowo i z rzeczywistą dla celów swych skutecznością. Mając być głównie ogniskiem umysłowem i towarzyskiem dla inteligencyi polskiej, Biblioteka utrzymywała czytelnię, w której korzystać można było z wielu literackich pism polskich; żałować tylko wypada, że nie prenumeruje wszystkich postępowych tygodników warszawskich, których treść znacznie jest obfitszą, aniżeli w ilustracyach. Księgozbiór liczy obecnie 2,575 dzieł w 3,285 tomach; z tych 283 tomów poświęconych jest dziejom polskim, 374 historyi literatury. Sekcya językowa, która zawiązała się pod przewodnictwem docenta dr. Leciejewskiego, podjęła zadanie zmudne, a wielką posiadające wagę: zajęła się oczyszczeniem języka z germanizmów i innych obcych naleciałości, przywracaniem dawnych, prawdziwie polskich a zapomnianych dziś wyrażeń, mieszczących się zwłaszcza w skarbnicy pomników literackich złotego okresu, wreszcie zbieraniem nowych wyrazów i zwrotów technicznych z dziedziny nauk ścisłych. Nadto sekcya ta urządzała odczyty w towarzystwie przemysłowem „Zgoda,“ poświęcone sprawie czystości mowy ojczystej. Wspomnieć toż należy, że jej sekretarz, dr. Kłobukowski, odszukał dom, w którym przebywał i życie zakończył Ossoliński; dom ten ozdobiony będzie tablicą pamiątkową.

Sekcya szkolna zajmowała się zorganizowaniem nauki języka ojczystego dla dzieci rodzin polskich w Wiedniu zamieszkałych. Liczba tedy uczniów wynosiła przeszło 50. Nauka odbywała się w lokalu Biblioteki, gdzie urządzono też zbiór podręczników szkolnych. Szkółka ta pozostawała pod protektoratem Maryi Czartoryskiej; dzieci zaś, mieszkające zbyt daleko, gromadziła kierowniczka Wanda Czartoryska w Weinhaus, rezydencyi Czartoryskich. Za jej przykładem i inne panie zaprowadziły u siebie prywatną naukę (Lewicka, Nowińska i Blumenstockowa). Szkółką główną, przeniesiona z czasem do lokalu stowarzyszenia „Zgoda,“ zajmowały się panie Kłoskowska i Zagórska.

Sekcya literacka odbyła szereg odczytów, wypowiedzianych w pierwszych dniach każdego miesiąca. Oddzielna sekcya literacka dla kobiet, pod przewodnictwem p. Wyczołkowskiej, zapraszała do grona swego panie na popularne pogawędki z zakresu literatury, historyi, sztuki, pedagogii, hygieny i estetyki; zapoznawano je tam z nowemi dziełami, pojawiającemi się na polach tych, oraz z najważniejszemi zagadnieniami społecznemi. Na każdem zebraniu rozbierano jakąś książkę lub kwestyę oznaczoną poprzednio. Oceniano tedy *Niziny* Orzeszkowej, *Nowele* Szymańskiego, *Rękawiczkę* dramat Björnsona, *Hygienę duszy* Feichterslebena, *Wycieczkę do Wiednia* Kamertona. Obradowano dalej nad pytaniem: „czem się zająć ma panna niebogata,“ dalej: „czy i dlaczego życie towarzyskie u nas upada?“ Za staraniem sekcyi głównej odbyły się następujące odczyty: Henryk Monat czytał „O mistycyzmie w poezyi polskiej,“ Stanisław Nowiński „Z dziejów miasta Lwowa,“ Mirosław Suchecki „O nowym systemie stenografii polskiej,“ Jan Lewicki „O Zygmuncie Krasińskim,“ dr. W. Binder „O emancypacyi kobiet,“ Anna Wyczołkowska „O podniesieniu oświaty kobiet,“ Henryk Monat „O Juliuszu Słowackim,“ dr. Kłobukowski „O łotyszach,“ Zygmunt Sawczyński „Z dziedziny pedagogii.“ O odczytach tych wspominaliśmy dawniej w listach naszych. Ostatni wieczór przed walnem zgromadzeniem Towarzystwa zajął dr. Alfred Nossig, odczytawszy pierwszą księgę „Jana Proroka,“ opowieści epicznej z r. 1880, osnutej na tle galicyjskiem. Poprzedził on ją streszczeniem całego utworu, podzielonego na ksiąg dziewięć. Jan Konopka, zwany Prorokiem, młodzieniec niepospolicie uzdolniony, powziął myśl zostania prorokiem takim, jakim był ks. Skarga i o. Marek. Potrzeba zarobkowania zmusza go jednak do różnych zawodów praktycznych. Jako rzeźbiarz przewędrował całą Galicyę; zostawszy dziennikarzem we Lwowie, mieście rodzinnem, styka się ze wszystkiemi niemal warstwami towarzyskiemi, zapoznaje się z nauką nowoczesną oraz z współczesnymi prądami społecznymi. Straciwszy idealistyczny pogląd swój na świat i ludzi, Jan poznaje płonność pierwotnego planu życia, a przebywszy jeszcze fazy rozmaite, zyskuje wcześnie świadomość właściwej natury uzdolnienia swego i poświęca się sztuce.

Takiemi są dzieje bohatera opowieści. Dzieje te nastręczyły jednak autorowi sposobność do przedstawienia społeczeństwa galicyjskiego i jego kultury. Okoliczność, że Jan urodził się na przedmieściu lwowskiem, pozwoliła scharakteryzować przedmieszczan i przyrodę okoliczną. Jako dziennikarz poznaje Jan prasę lwowską, studentów, socyalistów różnych odcieni, wreszcie teatr; wybory uzupełniające do Rady państwa, przedstawiają życie publiczne mieszczaństwa lwowskiego. Zaproszony do domu obywatelskiego, poznaje życie towarzyskie i prywatne mieszczaństwa zamożniejszego. Przyjazd cesarza Franciszka Józefa, który w r. 1880 odwiedził Galicyę, daje Janowi sposobność obejrzenia wszystkich warstw społecznych, a na ich czele arystokracyi, ugaszczającej monarchę. Wreszcie pięćdziesiąta rocznica historyczna, gromadząca we Lwowie weteranów, otwiera perspektywę na całość narodu. Pierwsza księga, odczytana przez autora w „Bibliotece polskiej,“ przedstawiała przedmieście lwowskie. Opowieść ta, napisana prozą, należy do utworów realistycznych; ogłoszoną będzie niezawodnie jesze w roku bieżącym.

Na walnem zgromadzeniu baron Gostkowski miał wykład z dziedziny fizyki, połączony z doświadczeniami.

Kończąc list dzisiejszy, zapowiedzieć wam mogę przybycie gościa, którego niezawodnie warszawianie radzi będą poznać. Gościem tym jest panna Eugenia Wolmutówna, znana recytatorka i kierowniczka szkoły dramatycznej w Wiedniu. Obok muzyki, artystyczne wygłaszanie utworów, zwane u niemców „Sprechen,“ nadaje główną cechę wyższemu życiu towarzyskiemu w Wiedniu. Szkoła panny Wolmutównej jest jednem z najgłówniejszych źródeł, z których rozchodzi się strumień deklamacyi artystycznej po salonach tutejszych. W przeciwieństwie do Strakosza, który pielęgnuje recytacyę dramatyczną, ożywioną efektami niemal brzuchomowczymi, panna Wolmut, której szwagrem jest słynny krytyk Hanslick, a która wyszła z realistycznej szkoły Lewińskiego, deklamuje spokojnie, naturalnie, podkreślając tylko miejsca główne. Czytuje poetów współczesnych, układając zazwyczaj program z utworów krótkich. Odczyty jej tem bardziej zajmujące będą dla krakowian, lwowian i warszawian, że ze szczególnem zamiłowaniem studyowała literaturę słowiańskie i że program jej obejmuje liczne tłomaczenia utworów Mickiewicza, Ujejskiego, Asnyka i innych poetów naszych.

Stwosz.

Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

I.

Lwów, 21 marca.

Dawno już nie było między lwowską młodzieżą uniwersytecką takiego ruchu, jak w roku bieżącym. Wywołały go głównie trzy wiece akademickie oraz projekt założenia towarzystwa słowiańskiego we Lwowie. Myśl ostatnią podniósł młody a wielce utalentowany poeta serbski Radowan Koszutić. Rodem z miasta Ruma w Slawonii ukończył gimnazyum w Nowym Sadzie (w Banacie), poczem poświęcił się literaturze słowiańskiej. Wkrótce po wstąpieniu na uniwersytet rozesławił się zbiorem swoich poezyj p. t. *Plamenové* (Płomienie), w którym z prawdziwie południowo - słowiańskim ogniem wzywa młodzież do walki za wolność i ideę wielkoserbską. Dla poznania każdej narodowości słowiańskiej w jej ojczyźnie, uczęszczał po kolei na uniwersytet wiedeński, praski i krakowski. W Krakowie założył w Czytelni akademickiej „Kółko słowiańskie,“ które liczyło wkrótce około stu członków. Stąd udał się do Lwowa „dla poznania literatury rusińskiej,“ gdzie w Czytelni akademickiej założył również Kółko słowiańskie. Z początku miało ono zaznajamiać młodzież polską z literaturą i historyą ludów słowiańskich—znalazło więc wielu zwolenników. Wkrótce potem pozyskał Koszutić wielu rusinów z „Akademycznego bractwa,“ którzy licznie uczestniczyli w posiedzeniach „Kółka.“ Takie niebywałe dotąd zbliżenie się rusinów do Czytelni akademickiej wywołało wielką radość między młodzieżą polską. Niezadługo powstały jednak różne nieporozumienia między „Kółkiem“ a wydziałem Czytelni. Kiedy zaś Koszutić wyraził się z naganą o polakach za to, że podczas ostatniej wojny walczyli w szeregach tureckich, przyszło do sądu honorowego, po którym wystąpił dobrowolnie z Czytelni, skutkiem czego powstała w pismach południowo-słowiańskich mylna pogłoska, że został z niej wykluczony. Kółko słowiańskie już przedtem opuściło Czytelnię i zaczęło swoje posiedzenia odbywać w uniwersytecie. Jednak z początkiem bieżącego roku szkolnego senat akademicki nie pozwolił na to. Wtenczas postanowił Koszutić zamienić je na osobne „Towarzystwo słowiańskie.“ Pod jego wezwaniem zgromadziło się 9 grudnia r. z. 34 akademików, pomiędzy nimi 30 rusinów z „Bractwa“ i zapisało się zaraz na członków nowego związku. Zebranie zagaił Koszutić dłuższą przemową po polsku i po ru-

sińsku, poczem obrano go przewodniczącym, a rusina Włodzimierza Ochrymowicza sekretarzem zgromadzenia. Gdy zaś miano przystąpić do odczytania statutu, zabrał głos rektor uniwersytetu, prof. dr. Piętak, przedstawiając, że należałoby się wprzódy zastanowić, czy rzeczywiście istnieje potrzeba założenia osobnego Towarzystwa słowiańskiego we Lwowie. Pytanie to poparli studenci polscy, których 15 nadeszło dopiero przy końcu mowy Koszuticia. Szczególnie gorąco przemawiał Roman Ciesielski, dowodząc, że wydział Czytelni wszelkimi środkami popierał „Kółko słowiańskie“ i ażeby rusinom ułatwić wstęp do niego, gotów jest każdemu z chętnych wystawić bilet wolnego wejścia. Z członków rusińskiego „Akademycznego bractwa“ oświadczył się również przeciwko założeniu osobnego towarzystwa akademik Budzynowski. Natomiast bronili odrębności wszyscy inni członkowie „Bractwa,“ a zwłaszcza jego przewodniczący Trylowski. Obaj oświadczyli, że rusini w żaden sposób nie mogą się zgodzić na wydawanie chcącym należeć do „Kółka słowiańskiego“ biletów członków Czytelni akademickiej, uwolnionych od wkładek, gdyż w taki sposób rusini będą zmuszeni przystępować do Czytelni akademickiej; osobne zaś Towarzystwo słowiańskie jest we Lwowie bardzo potrzebne, jako międzynarodowe, gdzieby rusini z polakami mogli się spotykać, poznawać nawzajem i razem uczyć na zupełnie obojętnym gruncie, gdzieby obie narodowości były jak u siebie w domu; dlatego to postawili wniosek: niezatwierania rozpraw nad potrzebą towarzystwa, tylko przystąpienia wprost do obrad nad statutem. Tymczasem przy głosowaniu uchwaliło zebranie 24 głosami przeciw 19 otworzyć dyskusyę. Ponieważ było widocznem, że większość wypowie się przeciwko założeniu osobnego towarzystwa, oświadczył Koszutić za poradą Trylowskiego, że wszystkim mówcom, zapisanym do słowa, nie udzieli więcej głosu i zawezwał sekretarza do bezzwłocznego odczytania statutu, usprawiedliwiając swoje postępowanie tem, że wezwał na dzisiejsze zebranie tylko tych, którzy czują potrzebę założenia osobnego Towarzystwa słowiańskiego, ci zaś, którzy nie uznawają tej potrzeby, są tylko gośćmi i powinni się jako tacy zachowywać. Ponieważ zaś przed zagajeniem głosowania zapisało się tylko 34, a teraz głosowało 43, a prócz tego kilku wstrzymało się od głosowania, wezwał więc obecnych do ponownego wpisania się na listę członków, gdyż nadal będzie tylko członkom Towarzystwa udzielał głosu. Wtenczas założył imieniem Czytelni akademickiej jej przewodniczący, Łaszowski, protest „przeciwko takiemu nieparlamentarnemu postępowaniu i całemu towarzystwu“ i z większą częścią członków Czytelni opuścił salę. Pozostali jej uczestnicy zapisali się do Towarzystwa tylko dla dalszego udziału w zebraniu, a następnie postawili wniosek, ażeby uchwalić założenie nowego „Towarzystwa naukowego polsko-ruskiego, gdzieby koledzy obu narodowości mogli wedle życzenia rusinów wspólnie pracować na neutralnym gruncie naukowym, gdzie obok studyowania literatur słowiańskich zajmowanoby się i innemi naukami.“ Kiedy jednak ten wniosek upadł, opuścili salę prawie wszyscy pozostali członkowie Czytelni. Następnie przystąpiono do odczytania statutów, które z małemi zmianami przyjęto. Wedle nich ma się nowe stowarzyszenie nazywać „Towarzystwem imienia Miklosicza,“ a celem jego będzie szerzenie znajomości historyi, literatury i lingwistyki słowiańskiej. Zebranie to wywołało wiele wrzawy między młodzieżą lwowską i w Czytelni powstał plan zwołania wiecu akademickiego, któryby zaprotestował przeciwko dążeniom Koszuticia. Tymczasem ku ogólnemu zdziwieniu policya zrobiła u niego rewizyę, a następnie uwięziła go, jako podejrzanego o agitacye panslawistyczne. Po trzech dniach wypuszczono go na wolność, nie odkrywszy nic zdrożnego w jego postępowaniu i w znalezionych u niego papierach; kazano mu jednak Lwów opuścić w przeciągu ośmiu dni. Wskutek tego udał się Koszutić do Czerniowiec. Wyjazd „nieodżałowanego Radowana“ wywołał wielki smutek i żal między rusinami ukrainofilami, którzy zarzucali członkom Czytelni, że się z tego powodu mieli cieszyć. Po wyjeździe Koszuticia podali jego zwolennicy uchwalony na owem zgromadzeniu statut Towarzystwa im. Miklosicza, który jednak przez namiestnictwo został odrzucony.

W Czerniowcach obcował Koszutić najwięcej z członkami ukrainofilskiego związku akademickiego „Sojuz,“ których zachęcał do działalności literackiej i narodowej. Między rusinami czerniowieckimi zjednał sobie wkrótce taką sympatyę, że kiedy po trzech miesiącach opuszczał Czerniowce, urządzili na cześć jego uroczysty bankiet, na którym on w swej mowie pożegnalnej wzywał akademików rusińskich, żeby wszelkiemi siłami starali się oswobodzić swój lud z objęć wrogów narodu rusińskiego. Następnie ma się udać do Warszawy, Petersburga i Kijowa.

Meg.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRACA MAŁOLETNICH.

Dzięki inspekcyom fabrycznym, odsłaniają się coraz bardziej kulisy, szczelnie zasłaniające jeszcze przed kilku laty tajemnice mięśniowej pracy ludzkiej. W Królestwie Polskiem najbardziej obfituje we wszystkie fabryki gub. piotrkowska, gdzie też przędzalnie i tkalnie największą ciągnęły korzyść z pracy małoletnich. Rzecz godna uwagi, iż najusilniej wyzyskiwano pracę dzieci w wielkich przędzalniach bawełny, gdzie liczba małoletnich stanowiła 20—25% ogółu robotników, wiek zaś ich — 7—12 lat. W przędzalniach wełny liczba małoletnich dochodziła do 15%, wiek 9—14 lat. W tkalniach bawełnianych i wełnianych stosunek liczby dzieci do dorosłych stanowił 10%; wielu z pośród nich liczyło 10—14 lat. Zarobek małoletnich przed rokiem 1884, tj. przed otwarciem działalności inspekcyi fabrycznej, bardzo był nizki. W przędzalniach bawełny zarabiali oni za czternastogodzinny dzień roboczy najwyżej rs. 1 kop. 40 tygodniowo; w przędzalniach wełny za 12—14 godzin dziennie rs. 1.50—1,80, w tkalniach bawełny i wełnianych za 11—13 godzin dziennie rs. 1,20—1,80 na tydzień.

W październiku 1884 roku dzieci mające mniej niż lat 10, usunięto z fabryki; jednocześnie stopniowo ograniczano liczbę godzin dla pozostałych małoletnich. Tym sposobem popyt na ową klasę robotników znacznie się podniósł, a więc zarobek się powiększył. Jeszcze do r. 1886 fabrykanci korzystali z pracy dzieci dziesięcioletnich, tytułem środka przejściowego. Następnie prawo z r. 1882 wprowadzono całkowicie. Według danych *Rusk. Wied.* (nr. 71), skutkiem usunięcia małoletnich (7—12 lat), liczba dzieci pracujących w fabrykach zmniejszyła się prawie o połowę. Obecnie w przędzalniach bawełny dzieci stanowią zaledwie 10—15%, w przędzalniach wełny 8—10% w tkalniach bawełnianych 5—8%, w tkalniach wełnianych 3—5%. Większe fabryki: przędzalnie bawełny Tow „Zawiercie“ i Ginsberga (około 4,000 robotników), Zacherta (300 rob.), Hoffrichtera (200), przędzalnie „przędzy francuskiej“ (wełny czesankowej) Dietla (1,000), Schöna (8,000) i Peltzera (700), zmniejszając stopniowo liczbę robotników małoletnich, zaprzestały całkowicie korzystania z pracy dzieci. Skutkiem prawa z r. 1882, małoletni w wieku 12—15 lat, za 6—8 godzin roboty dziennej zarabia teraz na tydzień: w przędzalniach bawełny rs. 1—1,70 (o 60% więcej, niż przed r. 1884), w przędzalniach wełny rs. 1,20—1,20 (o 60—80% więcej), w tkalniach bawełnianych i wełnianych rs. 1—1,20 (o 60% więcej).

Sprawa niezdatności wyrostków do obsługi maszyn przędzalnianych — jak twierdzą *Rusk. Wied.* — podniesiona przez przeciwników ograniczenia pracy fabrycznej dzieci, utraciła bezwarunkowo wszelką podstawę. Utrzymywano, iż młodzież w wieku 15—17 lat, która w pewnych wypadkach zastąpić musiała usunięte z fabryki dzieci, jest jakoby niezbyt ruchliwą w wykonywaniu niektórych robót, nie posiada giętkości w palcach itd. Pokazało się wszakże, iż młodzież ta nietylko zadawala wszystkie wymagania, lecz nadto jest bardziej rozgarniętą i wytrwalszą, niż dzieci w wieku lat 7—12.

W fabrykach gub. piotrkowskiej (400—500 zakładów z 50,000 robotników) obrabiających przeważnie włókna (przędzalnie i tkalnie), których przedstawiciele — jak twierdzą *Rusk. Wied.* — utyskiwali wraz z fabrykantami moskiewskimi na wprowadzenie prawa z r. 1882, uwydatniły błogie skutki tego prawa widocznie, gdyż odtąd pomyślność fabryk nie ucierpiała wcale, a rodziny robotników, których dzieci pracują teraz tylko przez pół dnia, zarabiają prawie tyle, co i przedtem. Prócz tego niektóre fabryki dowiodły stanowczo, że przy dobrych chęciach mogły one łatwo zrzec się całkowicie korzystania z pracy małoletnich, posiadających mniej niż 16 lat i że „również łatwo piękny ten przykład może być naśladowany przez inne fabryki.“

Dziennik łódzki, chwyciwszy się kilku zdań *Ruskich Wiedomosti*, wystąpił z tak żarliwą obroną fabrykantów, jakiej dotąd nie pamiętamy. Zaprzecza on stanowczo temu, iż fabrykanci gub. piotrkowskiej utyskiwali na wprowadzenie prawa fabrycznego. „Obawiano się na razie trudności technicznych, ale dążność prawa powszechnie w sferach tutejszych przemysłowców znalazła uznanie.“ O ile pamiętamy, było zupełnie inaczej, niż twierdzi organ łódzki. Jak u nas, tak wszędzie, w całem państwie wielkie niezadowolenie kipiało śród fabrykantów wskutek wprowadzenia nowych przepisów. Dość przejrzeć sprawozdania inspekcyj fabrycznych, aby się przekonać z faktów, ile oporu ze strony fabrykantów doświadczyła reforma prawna.

KOLEJE PAŃSTWOWE.

W Petersburgu na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa popierania przemysłu i handlu p. Wroński wystąpił w bardzo ważnej sprawie dróg żelaznych. Utrzymuje on, iż budowanie nowych kolei w celach handlowych (pomimo ogólnego braku zaufania do przedsiębiorstw takich), może być prowadzone z korzyścią dla rządu, jak również dla prywatnych przedsiębiorst. Według danych, zaczerpniętych z zarządu kontroli państwa, ministeryum komunikacyi i skarbu, rzadko jaka kolej w Rosyi przynosi chociażby niewielkie zyski. Na każdej prawie drodze ciąży pożyczka rządowa, która zwykle do tego się przyczynia, iż koszty budowy jednej wiorsty (55—70 tysięcy rubli) wzrastają niemal podwójnie. Tym sposobem odsetki od włożonego kapitału nieraz pokrywają zaledwie koszty eksploatacyi i zobowiązania. Niektóre koleje bywają nawet w tak ciężkiem położeniu, że nie mogąc zaspokoić swych zobowiązań, proszą co rok o zapomogę rządową.

Powyższy stan rzeczy — jak twierdzi p. Wroński — przy małej ruchliwości ruskiego bodźca handlowego, wymaga dla budowy dróg tanich handlowych koniecznie uczestnictwa państwa. Cena wiorsty pro-

jektowanej sieci kolei żelaznych handlowych powinna wynosić tylko od 6 do 12 tysięcy rubli. Chociaż drogi te mają być budowane wyłącznie tylko w celach handlowych, nie idzie zatem, aby z czasem w razie potrzeby nie mogły być przekształcone na drogi strategiczne lub linie ogólnopaństwowego znaczenia. Będzie to tylko sprawa zwiększenia kosztu budowy. Jednozgodnie przyjęto uwagi p. Wrońskiego i położono szczególny nacisk na cztery następujące wnioski jego: 1) istniejące koleje zupełnie nie odpowiadają niezbędnym potrzebom przemysłu i handlu; 2) budowa jaknajwiększej ilości tanich dróg żelaznych jest konieczną; 3) niezbędną jest przy budowie kolei inicyatywa rządu; 4) zachodzi potrzeba zmiany postanowienia rządowego względem kolei żelaznych, t. zw. „podjazdowych."

Z. P.

LITERATURA I SZTUKA.

NIEUDOLNE ZABIEGI I STARGANA PRZĘDZA.

II.

M. Rodziewiczówna, *Dewajtis.*

Wolę już słuchać szumu starego dębu, zapatrzyć się w nurt rzeki i orzeźwić pierś zapachem leśnej puszczy. Będzie mi się zdawać, że nade mną jest jasna i czysta nieskończoność, a u stóp moich płynie nie rzeka, lecz życie ludzkiej gromadki w dalekim zakątku Żmudzi — płynie cicho i, jak rzeka, nic z powierzchni swej nie mówi o tem, iż jest głębokie, głębokie i temu tylko głębinę swą odgadnąć pozwoli, kto szept fali rozumie. Lecz na czyste niebo nade mną wpływa wielki, szary obłok; powietrze pod nim nieruchomieje, a dźwięki życia milkną, jakby zdławione. Duszno mi znowu. Niegdyś obłok ten płonął tak świetnemi barwami złota, iż myśleliśmy, że to samo słońce; dziś widzimy zwykły obłok, szary, duszący. Gorące tchnienie talentu może zaróżowić skraj jego, lecz czyjaś ręka szybko ściera zeń barwy. Czyja? Tylko — życia. Nie krytycy i rozliczni nieprzyjaciele zabili romantyzm, lecz spłoszyło go życie, wołając, iż dość jest piękne, by go rozwinąć z mgieł idealistycznych i oglądać nagiem.

Panna Rodziewicz woli je we mgłach, a za upodobanie swoje składa wielki okup talentu. I dodaje jeszcze — nadzieję. Gdy patrzę na ten obłok, który mi rzuciła na czyste niebo, zdaje mi się, iż jest on, jak te, które teraz po niebie wiosennem się uganiają — rozdarty, pędzony kędyś i może — zniknie. Opieram nadzieje moje na tem, że po ideę dla swojej powieści p. B. zwróciła się do krynicy życia i zaczerpnęła z niej tę, która w obecnej chwili stanowi o istnieniu naszego społeczeństwa. Jest to idea „Placówki," lecz uświadomiona w człowieku inteligentnym, rozporządzającym znacznie większymi, niż chłop Ślimak, środkami dla obrony swego stanowiska. Placówką w obu powieściach jest zagon ojczystej ziemi. Nasuwa mi się tu porównanie, którego nie ominę, gdyż uwypukla przewagę realizmu nad idealizmem. P. Prus, nakazując człowiekowi *nikczemnej kondycyi* spełnić ten sam obowiązek, który ugniata barki „jasnowłosego olbrzyma" i, rzecz prosta, szlachcica, Marka Czertwana — mógłby bez wielkiego wysiłku podnieść swego Ślimaka na piedestał bohaterstwa i wszyscyby temu przyklasnęli, jako rzeczy słusznej. Nie uczynił tego p. Prus, wiedząc, że gdy Ślimak siedzieć będzie na piedestale ręką autora ustawionym, to nikt, przechodząc, Ślimakowi się nie pokłoni, bo każdy pomyśli: masz już piedestał, więc czego ci więcej potrzeba! P. Prus tedy dał nam tylko plastyczny i realny wizerunek chłopa, który wpół nieświadomie spełnił swoje wielkie zadanie — i oto dziś piedestał dla Ślimaka budują wszystkie myślące głowy i uczciwe serca w naszem społeczeństwie. P. Rodziewicz postępuje inaczej. Spotkała ona w jakimś kącie Żmudzi człowieka, który nie pozwala rodzinie swojej marnotrawić ziemi. Opiera się on działom majątku, wiedząc, że szmaty jego z nieopatrznych rąk macochy i przyrodniego brata wydarte zostaną przez żydów lub niemców; daje się rodzinie swojej wyzyskiwać, ograbiać z owoców swojej pracy, pracować za dziesięciu i ziemi sprzedawać nie pozwala. Równem staraniem otacza Czertwan i obcy, bezpański majątek, powierzony jego opiece, a gdy zjawia się dziedziczka, usiłuje ją nakłonić do pozostania w kraju i szanowania ziemi, drży, by niezmarnowała wielkiego jej szmatu. Za jakież więc winy — pytamy się — wpycha p. Rodziewicz takiego dzielnego człowieka na niewygodne szczudła bohaterstw, których Czertwan wstydziłby się z pewnością, wiedząc, że sam przez się ma on dość dużą wartość, by go ludzie zauważyli! Po co go robić olbrzymem, dla czego nie dozwolić mu porozumiewać się z ludźmi mową, a nie *mruczeniem*, w jakim celu kazać mu być odludkiem, nie usprawiedliwiając tego usunięcia się od stosunku z ludźmi, którym — aż do chwili wezwania go na sąd za mniemane ukrzywdzenie rodziny swojej — nie chce wytłomaczyć swego zapatrywania się na stosunki obywatela. Wreszcie, zmuszając Marka do ustawicznego biegania pod stare drzewo i prowadzenia z niem poetycznych dyskursów, pogrąża go p. R. w taką topiel idealizmu, z której żadną miarą nie może wypłynąć ze zdolnością do trudów i mozołów praktycznego życia. Wiele z tych romantycznych cech mogłoby przejść i do realnego obrazu Czertwana, jako osobiste przywary lub zalety jego; np. pewną dozę skrytej, lecz głębokiej poezyi mógł on zaczerpnąć w dzieciństwie z tęsknych opowieści matczynych i z obcowania z naturą. Lecz z nich to właśnie strugać szczudła dla myślącego pracownika, to błąd — bardzo wielki. Nie mniejszym jest ten, który p. R. popełnia w mniemaniu, że wątek jej powieści byłby szarym i nieciekawym, gdyby go zaczerpnęła z takiego życia, jakie mogło się ułożyć w szlacheckim zaścianku i że dla urozmaicenia barw jego należy wpleść weń przetarte nitki szychu, zapożyczonego z romantycznej tandetki. Oto jest potargana przędza tych nitek. Marek Czertwan nie byłby bohaterem, gdyby pracą swoją bronił jedynie majątku od marnotrawnych zapędów rodziny, należy go obarczyć innem jeszcze jarzmem, któreby nam dało miarę jego bohaterstwa. W tym celu stary Orwid, sąsiad i przyjaciel Czertwanów, porwany burzą polityczną, wylądowuje w Ameryce i tam — traci zmysły! Zapomina, że w kraju zostawił znaczny majątek na opiece zaufanego przyjaciela, który, listem powiadomiony, przesyłałby mu bez sporu resztę majątkową, wystarczającą na życie spokojne i niepozbawione komfortu, w New-Yorku lub Filadelfii. Nie mogąc przypomnieć sobie adresu, człowiek ten zmuszony jest tułać się po dzikich stanach, gdzie indyanie zabijają mu żonę, a w końcu nie zostaje mu nic innego, jak przystać za robotnika do jakiegoś fermera. Tam — umiera, a fermer, który ma w ręku metrykę i świadectwo rodu dziecka Orwida i zna nazwisko przyjaciela jego, u którego w depozycie znajduje się majątek, również nie robi żadnych starań, by majątek ten dla powierzonego mu dziecięcia zapewnić. Co najśmieszniejsze, że p. R. nie chce uznać niepoczytalności umysłowej Orwida i każenam wierzyć, iż coś istotnie zmuszało go do tak dziwacznego postępowania. I te wszystkie niemożliwe kombinacye nagromadzono tylko w tym celu, by Marek mógł złożyć dowód bohaterstwa, wyrzekając się narzeczonej (Marty) dla pójścia na bezinteresowną służbę do legendowych Orwidów, by Irena Orwid, przyjechawszy z Drakecity, mogła się pochlubić pojęciami o wyzwoleniu kobiet i opowiedzieć nam efektowny epizod — à la Mayne-Ried — o panterach i tomahawkach, a może jeszcze dlatego, by uzasadnić miłość jej dla Czertwana, gdyż wychowana w kraju, mogłaby nie nabrać upodobania do energicznych i rosłych ludzi!

Jest w tej powieści wiele postaci niedopowiedzianych i wiele postaci zarysowanych mglisto. Takiemi są np. Hanka i Łukasz Gral. Kiełkują w nich uczucia i myśli, których autorka nie chce, czy nie umie wyłowić z głębin ich ducha i uzmysłowić w pochwytnej formie. Siostra Czertwana, Hanka, jest sympatyczną dziewczyną, dość niesłusznie pomawianą o brak stanowczości. Składa ona jej dowód, nie pozwalając wydrzeć sobie najlepszej cząstki swego ja — pragnienia wiedzy. Być może, iż w Hance była „myśl cicha, głęboka a wielka," lecz ona sama jej nie wypowiada, a autorka postać tę szkicuje tylko. Zapytajmy jeszcze, co się stanie z tą myślą Hanki i jej dążeniem do samodzielnej i poważnej pracy lekarskiej, gdy poślubi takiego Marwitza; czy w samej rzeczy ma to uczynić dlatego tylko, by sztywnością i zaciętością tego humorystycznego amerykanina zrównoważyć własny brak stanowczości? Pocieszmy się, że to nader nieudatne swatostwo p. R. wypływa tylko z zasady, że w powieści trzeba co najmniej ze dwa małżeństwa skojarzyć. Może więc Hanka oprze się woli swej autorki. Łukasz Gral, jak wielu ludzi z ludu wiejskiego, lub też do ludu i natury zbliżonych, czuje w sobie nieco poezyi, tęsknej i smutnej, a może nawet nosi on w duszy ziarno uświadomionej miłości dla ludzi, współczucia dla ich cierpień i chęci ulżenia im, lecz i jego autorka szkicuje tylko upewniając nas, iż Gral jest niedołęgą.

Język *Dewajtisa* jest czysty, styl dość barwny, rozmowy prowadzone są w wielu miejscach żywo i inteligentnie, a opowieść — potoczysta. *Dewajtis* nie przeszedł bez wrażenia na ogół czytający, a w prasie zrobił za wiele hałasu. Naturalnie, odpowiedzialność za wrzask reklamy nie spada na autorkę i pewni jesteśmy, że potrafi ona wyróżnić głosy zasłużonego i pochlebnego uznania, jakimi myślący ogół płaci jej za istotny talent, za odsłonięcie nieznanego u nas zakątka na dalekich kresach i pokazanie go w świetle wysoko rozbudzonego życia umysłowego, a nadewszystko, jak zaznaczyliśmy, za ważną ideę, którą w powieści swej zamknęła.

F. G. B.

ZE ŚWIATA.

III.

Jubileusz Franciszka Rabelaisa. — Kroniki Gargantuy i Pantagruela.

Fakt znany z historyi, a tłomaczony psychologią społeczeństw, że na przełomie wieków liczniej niż kiedykolwiek jawią się wielcy ludzie i dzieją się wielkie rzeczy. Identyfikowanie stuleci z epokami wytwarza pewno przeświadczenie o doniosłości pierwszych i ostatnich lat wieku, drażni oczekiwaniem wielkiego wypadku, popędza twórczość do nowych odkryć i pomysłów. Na rok 1000 naznaczono koniec świata; odrodzenie włoskie, odkrycie Ameryki, Rewolucya przypadają na ostatnie chwile stuleci; Dante, Shakespeare, Goethe, Napoleon podnoszą się na tych zwrotnicach czasu do najwyższej siły. Oto i teraz, w oczekiwaniu nowego stulecia zaczynają biegać po organizmie ludzkości nowe prądy; na niejednym punkcie obserwować można to gorączkowy postęp, to gwałtowną reak-

cyę; niejeden rodzic gotuje się do wydania XX-mu wiekowi wielkiego człowieka i świat pełny jest dziesięcioletnich geniuszów.

Tymczasem, nim doczekamy ich pełnoletności, przypomnijmy jednego, którego 400-letnią rocznicę urodzin obchodzi się od niejakiegoś czasu we Francyi, tu wcześniej, tam później z powodu niepewności daty i różności zdań — Franciszka Rabelaisa. Nie zbyt u nas znany — co prawda — ten bajeczny „Człowiek śmiechu,“ a jest to przecież największy humorysta, jaki istniał w literaturach świata, nie wyłączając Cervantesa. Gdyby jego dwaj bohaterowie-olbrzymy: Gargantua i Pantagruel, trefniś-filozof Panurge i jowialny cynik brat Jan nosili humor na każdym włosku swych dużych, kosmatych ciał i gdyby podskubać ich chcieli dzisiejsi żartownisie, wystarczyłoby dowcipu dla wszystkich, a tamci nie przestaliby nazywać się kosmatymi. Nie przesadza autor, że książka jego to balsam na wszystkie smutki i dolegliwości; ja sam, jak mię znacie nieraz smutnym, posiadam szacowny egzemplarz tego pentateuchu zroszony nabożnie prowanckiem winem, które tak lubił czcigodny proboszcz z Meudon; ilekroć opadnie mię tęsknica, otwieram Rabelaisa i po chwili parskam śmiechem. „A świat poznał z nieomylnego doświadczenia wielką ulgę i pożytek, jakie niesie kronika Gargantuy: księgarze sprzedali jej więcej w dwóch miesiącach, niż się kupuje Biblij w dziewięciu latach.“ Tak zachwala ją w przedmowie II księgi i zapewne nie kłamie. Bo też z wina i — jakby to rzec— z ikry ludzkiej urodziły się te dwa kolosy, parodye starych, błędnych rycerzy, dziwaczniejsze niż Don Quijote, bo potworne; negacya wszelkiej duchowości, machiny żyjące zmysłami, niemogące się pomieścić w drobnym, głupim świecie, który ma uczonych i fakultety i gniotące filisterskie robactwo. Apoteoza użycia, ciskająca się w oczy chrześciańskiemu pesymizmowi, apoteoza naturalnego rozumu, depcąca scholastycyzm i dogmat; hymn śpiewany ludzkiemu ciału, drgającemu w miłosnej rozkoszy. Kto przeczytawszy Rabelaisa, nie zatęsknił za pogaństwem, niech temu matka Venus będzie litośna!

Wszystko odchyla się w tym fantastycznym romansie od rzeczywistości: jakieś tajemnicze alegorye, jakieś myśli gigantyczne snują się nad tym światem z epoki dyluwialnej; bada się je, podsuwa bohaterom i epizodom żywe historyczne figury i zdarzenia; Gargantuą ma być Franciszek I; Pantagruelem Henryk II, klaczą Gargantuy księżniczka d'Étampe, itd; niektóre zaledwo odgadnąć można. Język przestrasza bujnością; wyobraźcie sobie, że dzieła i język poprzednich pisarzy greckich, łacińskich i francuskich były lasem, że ten las runął i zbutwiał i że z ziarn jego wykiełkował jakiś nowy, dziewiczy ogród. Tysiąca wyrazów, które stworzył Rabelais, całe wieki nie zużyją, jak żaden pisarz dzisiejszy, nawet najbezwzględniejszy naturalista nie poważy się mówić o takich rzeczach, ani tak je nazywać, jak Rabelais. Wszystkie terminy tak zwane „wstydliwe“ są tam zużyte i to w nieskończonych synonimach i parafrazach. Jowialny cynizm leży w naturze francuza; duch Rabelaisa ożył dziś w istnej szkole Rabelaistów, z których najzdolniejszym jest Armand Silvestre, pisujący w *Gil Blasie*, ale gdzie jemu!.. U Rabelaisa szumi wyuzdanie humoru tak sprośne, że od niego — jak mówi Sienkiewicz— „najbezczelniejszy pawian zarumieniłby się na wszystkich niepokrytych włosem miejscach;“ *il ferait rougir un singe* — jak mówi moralny Oktaw Feuilet.

Chciano identyfikować Rabelaisa z jego kreacyami — to potwarz; Rabelais, wielce uczony mnich, władający kilkunastu językami; humanista jeden z pierwszych, doktór medycyny i anatom jeden z najznakomitszych, był osobistością szanowną, a ta uczoność i ten szacunek sprawiały, że uchodziły mu płazem jego dzieła; stał w łaskach u kardynała Du Betlay, w łaskach królewskich; nawet posądzenia o kacerstwo, zbyt zresztą usprawiedliwione, nie mogły mu zaszkodzić.

Romans Rabelaisa streścić — nieco trudno; na powieść składa się kilka epizodów z życia Gargantuy i Pantagruela; resztę zagarnia satyra. Gargantua jest synem Grandgousiera a rodzi się z Gargamelli — przez ucho, który to cud nie powinien dziwić, gdyż historya przytacza inne, dziwniejsze urodzenia; i tu cytuje autor cały szereg wypadków z mytologii, z przyrodników greckich i łacińskich, z Biblii nawet... a powaga nie zdoła stłumić złośliwego śmiechu. Opis wychowania Gargantuy jest szykaną na ówczesno pedagogiczne systemy; dalsze części, jako to przybycie olbrzyma do Paryża, zdjęcie dzwonów z wieży Nôtre Dame, makaroniczna mowa mistrza Janotusa proszącego o ich wydanie; potem homeryckie walki z gigantami, pojawienie się brata Jana, wesołego mnicha, którego ulubionym kalamburem jest: *service du vin — service divin* — wszystko to stało się we Francyi popularne, jak przysłowia. Księga Gargantuy jest krótka, a kończy ją reformatorski plan wzorowego klasztoru Telemitów, którego dewiza brzmi: „Czyń co chcesz,“ bo członkami tego bractwa mają być tylko mnisi pracowici i uczciwi, więc niechcący nigdy czynić źle. Po tych kartach powiał widocznie duch Reformacyi; walka przeciw próżniaczym klasztorom, która we Francyi trwa już od XIII w., bo podejmuje ją np. Jean de Meung, autor alegorycznego *Romansu o Róży*, zyskuje w Rabelaisie zaciętego szermierza.

Ile tam żartów na ten temat i na inny, którego powtórzyć nie można, ile humoru w dobrodusznem gawędziarstwie, ile aforyzmów, w rodzaju tych: „Biegnij zawsze przed psem, nigdy cię nie ugryzie; pij zawsze przed pragnieniem, nigdy go nie zaznasz.“ „Szklanka nie powinna być nigdy ani próżna, ani pełna; gdy próżna, napełnij ją, gdy pełna — wypróżnij ją.“ „Pijcie zawsze, nie umrzecie nigdy“ itd.

Po Gargantui poszły 4 księgi *Kronik Pantagruela*; „Pantagruelizm“ Rabelaisa, to pojęcie zamykające cały system filozoficzny; jest to, jak tłomaczy — „pewna wesołość umysłu, skierowana ku pogardzie rzeczy przypadkowych,“ więc epikureizm, na tle panteistycznem. Te cztery księgi pod względem bujności języka, głębokości pomysłów i śmiałości satyry są wyższe od pierwszej, choć humor w nich bardziej wyrafinowany więc i nie tak odrazu dostrzegalny. Pantagruel jest synem Gargantuy, a genealogia jego wyłożona w sposób, jak w Ewangelii genealogia Chrystusa; podobnych wybryków dopuszcza się Rabelais nader często. Matka umiera przy porodzie, co daje ojcu powód do sławnej kontrawersyi z samym sobą, czy ma cieszyć się z urodzenia syna, czy smucić się ze śmierci żony. Pantagruel kształci się w Sorbonie; nienawiść liberalnego myśliciela do tej wawrowni scholastycyzmu wystrzela przy tej okazyi spisem ksiąg biblioteki St. Victora, parodyującym uczoność tytułów. Są tam więc książki jak: *Ars honeste petandi in societate, Le Culot de discipline, Cullebutatorium confratriarum, Antipericatametaana parbeugedamphicribrationes merdicantium*, a nawet *Kosmografia czyśca* i *Antydotarium duszy*.

Zjawiają się w otoczeniu Pantagruela inne figury, między niemi przedewszystkiem Panurge, nieśmiertelny typ paryżanina, gadatliwy, dowcipkujący w ekstazie nieustannej „blagi,“ zjawiska czysto paryskiego. Samo jego wystąpienie na widownię jest arcyciekawe: odzywa się 13-ma językami, między którymi jest i volapük— (patrzcie, pomysł nie nowy!); wszedłszy w służbę Pantagruela wypełnia przestanki śród biesiad anegdotami; nic wymówi słowa, któreby nie było kalemburem. Opowiada, jak uciekł z niewoli tureckiej, wbity już na rożen i smażony na wolnym ogniu; podaje sposób obwarowania Paryża tanim, a niezdobytym murem— powtórzyć go niepodobna; wyprawia psoty mieszczanom i mieszczankom paryskim, między niemi najbezecniejsza ta, gdy na pewną, niewzajemną mu damę sprowadza psy z całego miasta... On to odświeża w bezwstydnych parafrazach średniowieczne anegdoty: o złotniku, któremu dyabeł podał środek ustrzeżenia się rogów; o dyable oszukanym przez chłopa, a co gorsza—przez babę; o rębaczu, któremu Jowisz oddał utopioną siekierę.

Obok Panurga spotykamy Epistemona, opowiadającego swą wycieczkę do piekła— parodyę Dantejskiej *Boskiej Komedyi*; Carpalimo, Eusthenesa i brata Jana z pierwszej księgi. Czynów Pantagruela wszystkich nie wyliczę; jednym z najgłośniejszych jest ów pojedynek z olbrzymem Loupgaron, paradyujący walkę Paladyna Oliviera z Saracenem Fierabrasem z starofr. *Chansons de Geste*, który to posiadał baryłkę z świętymi olejami Józefa z Arymatei i z niej czerpał siłę; jużto, gdzie chodzi o cuda, Rabelais jak Bokacyusz, nie zna litości.

Głównym jednak epizodem ostatnich części jest wyprawa bohaterów do różnych wyroczni uczonych, poetów, astrologów, filologów, teologów, alchemistów, kabalistów — z zapytaniem, czy wypada Panurgowi żenić się. Jakie tu pole otwierało się satyrze — mówić nie potrzeba, gdyby jeszcze można było odgadnąć, co oznaczają wszystkie alegorye!.. Wszyscy wróżbici dają odpowiedź dwuznaczną; ostatnią uciecżką Panurga jest wyrocznia Boskiej Butelki, która też jako kwintesencyę mądrości wypowiada wyraz: pij. Raz już powiedział Rabelais: *Rire est le propre de l'homme*; teraz zaś: *boire est le propre de l'homme; je ne dis boire simplement et absolument, car aussi boivent les bestes: je dis boire vin bon et frais*,“ Więc „pić z kielicha natury“—oto filozofia Rabelaisa, a w tej „affirmacyi“ życia znowu słychać echo Odrodzenia.

Nim się Pantagruel dostał do Boskiej Butelki, przejeżdża przez różne kraje i widzi różne ludy—wszystko parodya spółczesnych państwowych i kościelnych instytucyj, naśladowana później przez Swifta w Guliwerze. Autor staje się coraz zuchwalszy, a szczytem tego zuchwalstwa jest szeroki opis ludu zwanego Papefigues, tj. pokazującego papieżowi figę (protestanci) i innego: Papimanes (papiści), których władcą jest malowany *l' Unique*. Stamtąd prowadzi nas autor na Wyspę dzwonów, która przedstawia Rzym, gdzie pokazują Pantagruelowi jako osobliwość dużą *Papugę* chowaną w klatce; opis sposobu jej życia w kilkadziesiąt lat później wystarczyłby, aby autor dostał się w ręce kata. Ta czwarta księga wyszła wprawdzie z przywilejem królewskim, ale fakultet teologiczny Sorbony podniósł taki okrzyk grozy, że Rabelais musiał się chronić do Metzu. Przywilej na czas jakiś cofnięto; ale znów przywrócono; Rabelais mógł wrócić do kraju i umarł spokojnie 1553 r.

Najprzedniejszą pamiątką po tym wielkim pisarzu jest jego język; takim nikt nie pisał, ani nigdy pisać nie będzie. Opisując, jak Dyogenes toczył swą beczkę, autor wywołuje efekt natężenia szeregiem słów: *le tournoit, viroit, brouilloit, barbouilloit, herdoit, versoit, renversoit, nattoit, grattoit, flattoit, barattoit*, itd. aż do 64; opisując dania obiadu, wylicza ich 120; atrybuty piętrzą się jedne na drugich, parafrazy i waryanty jednej myśli snują się bez końca. Najulubieńszą formą jego jest parodya; tak, opisując zajęcia jakiegoś ludu, wylicza szereg sparodyowanych przysłów: „Jedni strzygli osły i zbierali wełnę, drudzy łapali wiatr siecią, inni cięli ogień nożem, itd. Rabelais jest panem języka filozoficznego,

filologicznego, teologicznego, języka doktorów, toż igra nimi jak zręczny kuglarz. Dzisiejsza szkoła symbolistów używa języka, który w parodyi czyta się już u Rabelaisa. *Nous transfretons la Sequane au dilucule et crepuscule; nous déambulons par les compites et quadrivies de l'urbe; nous despumons la verbocination latiale*... itd.

Pyszny jest Panurge, gdy się rozgada; pan Zagłoba dorównywa mu czasem swadą i łgarstwami, posądzamy go, że brał lekcye u Panurga; podejrzywamy o to samo Radziwiłła Panie Kochanku; np. jego powieść o głosach, które odtajały w lesie, znajdują się z tą zmianą, że było to na morzu—w IV ks. 55 r. Są tam żarty, które były wspólną własnością całego Odrodzenia, a które też spotyka się we fraszkach Kochanowskiego, jak ów „Na astronoma," lub fraszka: „Nie pogardzaj mną proszę, dziewko urodziwa."

Aby książka Rabelaisa mogła sprawić czytelnikowi pełną satysfakcyę, potrzeba lekturę jej rozłożyć na lata całe.

Egrot.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Odczyt H. Sienkiewicza).

Dziwne przypadki rządzą umysłowością naszą. Dzięki jednemu z przypadków do Warszawy przyjechał Brandes, który z katedry publicznej rzucił powtórzoną za Tainem uwagę, że powieść historyczna jest „kawą... figową," tkaniną, której postaw nie godzi się z osnową, bo powieść nie może być historyczną tak, jak historya powieściową. Echo tej uwagi błąkało się po pismach i głowach naszych dziennikarzów, nareszcie przypadek wprowadził na tę samą katedrę Sienkiewicza, który po kilku latach odpowiedział Brandesowi i naraz cała prasa nasza zaczęła rozprawiać — o powieści historycznej.

Głośny jej przedstawiciel miał stosunkowo łatwe zadanie obrony „swego domu," gdyż wywód Taine'a—Brandesa jest tylko paradoksem lub dowcipem krytycznym. Bo przedewszystkiem sama historya jest powieścią i jak dotąd tylko powieścią — naukową i bynajmniej ani z chemią, ani z astronomią pod względem ścisłości równać się nie może. Nauka istotna bada i ustala prawa rządzące zjawiskami — tymczasem tak zwane prawa dziejowe są czemś arcywątpliwem. Zarzut, że artysta, patrząc na przedstawiane epoki i ich ludzi z odległości setek lub tysięcy lat, nie zdoła przyswoić sobie ich myśli i uczuć, byłby słusznym wtedy, gdyby sztuka była i być mogła wiernem odbiciem rzeczywistości i gdyby postęp ludzki odbywał się wielkimi skokami, których bynajmniej nie czyni. Jeżeli my dziś w wywodach filozoficznych opieramy się na Arystotelesie, a nawet mamy szkołę arystotelików, jeżeli wierzenia i moralność czerpiemy z Biblii, jeżeli utrzymujemy zwyczaje zrodzone w życiu ludów dzikich, to powieściopisarz może przejąć się duchem II, XV, lub XVII wieku. Pytanie: skąd on wie, że tak myślał i mówił Trajan, Kromwel lub Walenstein, jest wprost naiwnem. Bo chociaż wiemy, że Herkules nie nosił na głowie lamp, mimo to podstawka do lampy, przedstawiająca Herkulesa a wyrzeźbiona przez Canowę, będzie utworem sztuki. Podobnież powieść historyczna. Poniewierający nią naturalizm więcej wart w swych dziełach, niż w swej teoryi, która nie wyskoczyła z głowy Jowisza. Dzieła ich są nieraz cenne, ale ich teorya jest złudzeniem. Naturalizmu bowiem, jako ścisłego odtworzenia rzeczywistości nigdy w sztuce nie było i niema, chociaż jej twory omazywano hojnie życiowem błotem i okurzano pyłem pospolitości. Powieściopisarz, który powiada: „Jan wstał rano i wyszedł na ulicę" — tem prostem zdaniem zabija cały swój naturalizm, bo pomija mnóstwo procesów i objawów fizyologicznych, psychicznych itd., które zaszły między wstaniem Jana a jego wyjściem na ulicę.

Z koguta francuskiego wylęgło się w naszej literaturze stadko drobiu, które piskiem, pianiem, gdakaniem i zapalczywością w bójkach narobiło trochę wrzawy, ale nowego „kierunku" twórczości nie przedstawiło i nie obroniło. Wobec jej wielkich przemian było lub jest tem, czem knajpa, meeting, sekta wobec potężnych prądów i stronnictw. Zdmuchnąć te płomyki na szklankach ponczu było zadaniem łatwem— spełnił też je Sienkiewicz zwycięzko. Szerszych widnokręgów w swej pogadance nie zakreślił, bo do nich jego umysł przeważnie malarski a niegłęboki wcale się nie nadaje. Żaden epik nie był filozofem, a czytelnicy powieści Sienkiewicza wiedzą, że on również nim nie jest. Ma jednakże dość krytycznego rozumu na wynicowanie ciasnej formułki i pojmuje prawa bytu tych utworów, którym swój talent poświęcił. Więc za niemi ujął się wymownie.

TEATR.

Kazimierz Zalewski, *Lis w kurniku*, komedya w 5 aktach.

Satyra błędów i śmieszności zabagnionego życia prowincyonalnego, potępienie mnogich po wszystkie czasy łowców posagowych i gromka nagana dla małżeństw, zawieranych pośpiesznie, bez dokładnego poznania się obu stron — oto potrójny budulec, użyty do najnowszej komedyi autora *Przed ślubem*.

Na pierwszy rzut oka każdy pozna, że owo drzewo jest nieco zmurszałe, ów piaskowiec kruszy się, a żelazo pokryła krwawa rdza. Starość jest matką owych usterek. Cały legion poprzedników p. Zalewskiego w naszej i obcej literaturze te same lasy trzebił i z tych samych czerpał kopalni; również i jego współcześni towarzysze, choć raz jedyny, zwiedzali te same szlaki. To też autor skwapliwie pośpieszył wyjaśnić w osobnym artykule (*Kur. warszawski* nr. 96) rodowód swej sztuki. „Jest to jedna— pisze — ze starszych i słabszych moich komedyj. Prowincya wyglądała inaczej wtedy, jak dzisiaj. Teraz większe miasto, przy kolejach żelaznych i ułatwionych środkach komunikacyj, to przedmieście Warszawy. Miasto prowincyonalne stanowiło organizm sam w sobie, siłom i rozwojowi własnemu pozostawiony. Mody dochodziły tam w miesiące, zdobycze postępu w lata, książki naukowe... nigdy! Miasto takie miało swój charakter, typy, stanowiło świat zamknięty dla siebie. Dziś podobne ono do innych; przynajmniej ja, gdy je odwiedzam, różnic wybitnych między niemi nie spostrzegam. Przed dwunastu laty odświeżyły się moje wspomnienia lat dziecinnych, chciałem je utrwalić..."

Szkoda wielka tedy, że *Lis w kurniku* nie pojawił się na scenie w 1877 r., wówczas bowiem wiałyby od niego świeżość i młodość, gdy dzisiaj sprawia on wrażenie tablicy, pokrywającej grób nieboszczyka, dawno zgasłego. Od 1877 r. aż po dzień dzisiejszy przesunęło się przez scenę setki takich Łazińskich, Chyłkiewiczów, Krzykoszewskich, Pikowskich i Fistułkiewiczów. Natrętni znajomi zaś nie cieszą się u nas miłością; nuda pojawia się równocześnie z ich przybyciem.

O łowcach posagowych niema co i mówić. Postać to tak zużyta, tak często wypożyczana ze składu maryonetek, tak obrzucana, i słusznie, gromami potępienia, że należy dziwić się, iż do dnia dzisiejszego nie potłuczono jej zupełnie i nie wyrzucono.

Pozostaje wreszcie poważna tendencya zgromienia małżeństw, skojarzonych dla dogodzenia chwilowej namiętności. Józef Olszycki, rejent na prowincyi, ożenił się przed laty z młodą i ładną warszawianką. Był on wówczas małym urzędnikiem w Warszawie, żona lubiła bawić się, a brakło do tego środków. W tem nawinął się kolega szkolny Olszyckiego, Krońeki, przystojny i bogaty, który zakochał się w żonie przyjaciela. Przez trzy lata pożądając zakazanego owocu, nie szczędził kosztów i zabiegów. Daremnie. Henryka bowiem pokochała go, lecz platonicznie. Jej sentymentalną miłością znużony Kroński odjechał, a ona tonąc we łzach, uważała się za wiarołomną małżonkę. Olszycki przeniósł się następnie na prowincyę, a tam, dostatek i zamożność nawiedziły jego dom. Mimo to był nieszczęśliwym. Dlaczego? Przecież o rzekomej zdradzie żony nie wiedział, a pieniądze pozwalały mu na użycie rozrywek, zdolnych odpędzić widmo nudy. Powinien atoli zostać pesymistą, bo tak wypada z planu sztuki. Po sześciu latach Kroński, zrujnowany, postanawia żenić się bogato. W Warszawie znano go, zjeżdża więc na prowincyę do Olszyckiego, gdzie panien bogatych więcej, gdzie łatwiej olśnić niewybredne mamy, gdzie miano „warszawiak" czaruje dziewczęta tak, jak oczy węża przykuwają do miejsca niewinne ptaszę. I stało się, jak przewidział. Olszycki wprowadza go w koło swych znajomych; po kilku dniach najbogatsze panny leżą u nóg zwycięzcy. Szczęście Krońskiego obudza zawiść młodzieży miasteczka, również polującej na majętne panny. Zawiść rodzi anonym, przesłany dziwnym trafem do rąk Olszyckiego, bo tak z planu sztuki wypada, oskarżający jego żonę o stosunek miłosny z Krońskim. Henryka, jakkolwiek jej szata niewieścia promienieje bielą nieskalaną, przybita wyrzutami męża, opierającego się jedynie na anonymie, truje się. Szczęście, czy też autor pragnął atoli, by trucizna była sfałszowaną przez niesumiennego aptekarza. Henryka żyje i powraca do zdrowia, a ulubiona przez Zalewskiego postać, szlachetny i cieszący się wiecznem powodzeniem *rezoner*— w tej sztuce doktór Młodzicki — godzi zwaśnionych małżonków, Krońskiego zaś zmusza do natychmiastowego odjazdu.

Widzimy więc jasno, że cała akcya opiera się na kilku chwiejnych „gdyby." Niech te słupki, których nie rzeczywistość i nie logiczne następstwo wypadków, jeno wyobraźnia komedyopisarza zrodziła, upadną, wówczas runie i sztuka sama.

Przytem zadziwia nas w *Lisie* nierówność stylu. Pierwsze dwa akty są farsą, i to bardzo niewybredną, akt trzeci jest dramatem, czwarty przypomina dwa pierwsze, w piątym oba rodzaje sceniczne autor pomieszał w jednem naczyniu. Widz od śmiechu przechodzi do łez, a im częściej i prędzej powtarza się owa przemiana, tem większe ogarnia go zniechęcenie, tem goręcej pragnie usłyszeć koniec.

A przytem ten śmiech jest sztucznym. Osoby komiczne przypominają poliszynelów z garbami na plecach i piersiach, na ich twarzy i w ich ruchach widnieje przesada, niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Jedynie doktór Ogrzałło, przedewszystkiem zaś aptekarz Fistułkiewicz żyją życiem istotnem, poruszają się, mówią i działają samodzielnie. Dla pierwszej sceny czwartego aktu warto pójść na *Lisa w kurniku*.

Jedna scena przecież — to na autora *Przed ślubem* zamało!

Tu mimowoli nasuwa się pod pióro zdanie Börnego: "Es gibt Menschen, die geizen mit ihrem Verstande, wie andere mit ihrem Gelde." Czyż nie stać Kazimierza Zalewskiego na inne, lepsze utwory, godne poprzednich?

Artyści grali wyśmienicie. Ani jeden z nich nie pozostał w tyle, ani jeden nie po-

skąpił pracy i talentu, byle tylko i sztuce i autorowi zapewnić powodzenie. Szkoda, że ich wysiłki pozostaną bezowocne.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pieszczochy i kopciuszki dobroczynności. — Schronienie dla paralityków nieuleczalnych. — Ostatni krąg niedoli. — Krótka historya zakładu. — Dla kwesty wielkanocnej.— Ubóstwo naszych szpitali.— Dwa noże na sali.—„Łgorze" kuryerowi. — Przędza zmyśleń. — Szóste mocarstwo u nas i gdzieindziej,— *Times* i *Kuryer*. — Rozgrzeszenie przedwielkanocne.

Dobroczynność nasza, nietylko płynąca z głębokiego poczucia obowiązków łożyskami stałemi, sprawiedliwie i umiejętnie uregulowanemi, ile w znacznej mierze zależna od chwilowych uniesień, nagłych wylewów wzruszenia, przypadkowych pobudzeń, wreszcie mody, nałogu, energii w zabiegach — ma w świecie nędzy swoich ulubieńców i swoich kopciuszków. Jednych obsypuje swemi łaskami nad potrzebę, drugich pomija obojętnie. Do tych ostatnich należy Schronienie dla nieuleczalnych paralityków. Zakład ten jest może najstraszniejszym kręgiem w piekle niedoli ludzkiej, przewyżkę cierpienia wyraża w nim jedno słowo: *nieuleczalnych*, które gasi nieszczęśliwym ostatni promyk życia, odbiera mu nawet tę często złudną, ale łagodzącą męczarnie drobinę — nadzieję. Każdy inny chory w szpitalu, słabiej lub mocniej wierzy, iż zostanie ocalony, między zaś zupełnem zwątpieniem a ostatecznym końcem upływa zwykle bardzo niedługi przeciąg czasu. Ani pociechy, ani wiary, ani złudzeń nie ma paralityk nieuleczalny. On wchodzi do zakładu jak do kaplicy przedpogrzebowej, w której cierpiąc, musi przytem dręczyć się świadomością, że niema dłoni na świecie ratunku, że nic go nie wyzwoli z tortury, tylko grób. Jest to więc przybytek nietylko boleści, ale i rozpaczy. Niedawno jeszcze, bo kilkanaście lat temu, ci na powolną śmierć skazani męczennicy nie mieli żadnego przytułku, gdyż nawet szpitale zamykały swe drzwi przed „nieuleczalnymi." Wreszcie grono ludzi dobrej woli postanowiło złagodzić niedolę tych nieszczęśliwych. Rozpoczęli od czterech łóżek w dwu pokojach wynajętych na Tamce. Następnie w lokalu przy ulicy Chmielnej pomieszczono łóżek 12. Gdy grono to zwiększyło się, zakupiono posesyę przy ulicy Nowowiejskiej, gdzie obecnie zbudowano Schronienie. Dziś liczba paralityków przeszła setkę, a bynajmniej nie wyczerpuje całego zastępu zgłaszających się. Pomimo bowiem rozszerzenia budowli, brak miejsca na większą ilość łóżek, a przytem brak środków, gdyż zasoby instytucyi są ubogie a tego rodzaju chorzy wymagają liczniejszej, niż inni, obsługi, nieustannej prawie opieki i pomocy. Większość leży w zupełnej bezwładności i bezwzględnie zajmować się sobą nie może. Skrzętną i oszczędną, groszową gospodarką utrzymuje się równowaga istnienia zakładu, który rozrosnąć się i utrwalić swój byt powinien.

Nadszedł tydzień wielkanocny a z nim kwesta. Jeżeli między czytelnikami naszymi są tacy, którzy tą drogą spłacają dług miłosierdziu i zwyczajowi, polecam ich pamięci Schronienie dla paralityków. Dla innych zaś dołączam objaśnienie, że zakład ten mieści się przy ulicy Nowowiejskiej nr. 32 i przyjmuje również dary w naturze; w zasiłkach pieniężnych na jego korzyść pośredniczy redakcya *Kroniki rodzinnej*.

Chciałbym również, ażeby głos mój dobiegł do uszu ludzi schodzących ze świata i pragnących pożegnać go czynem miłosiernym. U nas zdarza się częściej, niż gdzieindziej, że ludzie ci przed zgonem biedzą się z myślą, jaką instytucyę obdarować po śmierci: pytają adwokatów, znajomych, redaktorów, a kiedy już jednej lub drugiej rady usłuchali, jeszcze nie są pewni, czy złożyli swą ofiarę na ołtarzu najwłaściwszym. Nie twierdzę bynajmniej, ażeby przytułek dla paralityków powinien zajmować pierwsze miejsce w naszej dobroczynności, ale żeby zajmował ostatnie, przeciwko temu oburza się zarówno litość, jak rozum.

Wogóle stosunkowo bardzo nieliczne zdarzają się u nas zapisy na szpitale, na przybytki nędzy i nauki, które z obu tych tytułów godne są lepszego losu. Nie sięgając po wzory do porównania daleko, lekarze, którzy mieli sposobność zwiedzać szpitale ruskie w Petersburgu, Moskwie i Odesie, zapewniają, że są to przybytki urządzone wspaniale, zaopatrzone hojnie, odpowiadające wszelkim wymaganiom nauki i humanizmu. Tymczasem nasze są bardzo ubogie, tak ubogie, że dość uzasadnioną jest niechęć do nich śród ludu. Przed kilku tygodniami zaszedł wypadek, który lepiej uwidocznia to ubóstwo, niż wszelkie dowodzenia. W szpitalu św. Ducha zmarł nagle pewien chory. Przy sekcyi lekarze długo nie mogli odkryć powodu nagłej śmierci, nareszcie jeden z nich wydobył z gardła trupa kawał mięsa. Poprostu nieszczęśliwy zadławił się, co jest zupełnie naturalnem wobec faktu, że na całej sali znajdują się tylko *dwa* noże do krajania mięsa przy jedzeniu. Przecięciowo szpitale nasze posiadają około 13 kopiejek dziennie na utrzymanie chorego łącznie z lekarstwami; przy takim zasobie niepodobna myśleć nietylko o wygodach, ale nawet o umiejętnem i skutecznem leczeniu. Jakiś środek nowy, jakąś metodę wypróbować można klinicznie wówczas, kiedy z przebiegu choroby wyłączone są szkodliwe dla niej warunki a z obserwacyi — następstwa niedostatku odżywiania się. A jeżeli często trzeba skąpić pacyentowi jednego jajka lub łyżki wina, co tu mówić o jakichkolwiek badaniach i doświadczeniach medycznych! Zamożność szpitalów zagranicznych lub ruskich nie jest jedynie dziełem państw, lecz także w znacznej mierze wypłynęła z ofiar prywatnych, z danin i zapisów testamentowych. Niema u nas wielu bogaczów, mogących na ten cel składać dziesiątki lub setki tysięcy rubli, niema lordów angielskich lub milionerów kupiectwa ruskiego, ale są ludzie, którzy mogliby a często, gdyby im tę myśl podsunięto, chcieliby poświęcić szpitalom poważne sumy. Utrwaliłoby się w społeczeństwie poczucie tego szlachetnego obowiązku, gdyby go częściej przypominała prasa, niestety, tonąca w zachwytach teatralno-artystycznych, tracąca głowę, rozum, zmysły pod wpływem wysokiej nuty lub wymownego ruchu na scenie. Więcej łez wylała ona w żalu po pani Popiel-Święckiej, niż w litości nad wszystkimi szpitalami. Prasa ta jest również rodzajem Schronienia dla paralityków, nieodczuwających wielu poważnych stron życia i nieuleczalnych z koncertowo-teatralnej manii. Gdyby sądzić z jej postępowania, należałoby przypuścić, że my nie jesteśmy i nigdy nie będziemy społeczeństwem dojrzałem, lecz jakiemś wiecznie młodem, lekkomyślnem i rozbawionem, społeczeństwem we fraku i białym krawacie.

Proces kukizowski, z którego tyle wydojono „sensacyj," skończył się, powódź szybko tak przeminęła, że reporterom nie udało się zatopić Nowego Dworu (choć usiłowali!), Mierzwiński tylko przemknął przez Warszawę a zresztą tajemnice jego bielizny nie budziłyby już tyle zajęcia, jak przed paru laty, Sienkiewicz już na wszystkie strony opisany, więc zrozpaczone gazetki usiadły na jajach... kaczych. Opowiadano mi, że jest w Warszawie reporter, obdarzony dziwną wyobraźnią w kłamaniu: układa sobie z góry na kilka miesięcy zapas nadzwyczajnych wypadków, bądź zmyślonych, bądź przepisanych z dawnych roczników pism miejscowych i zagranicznych. Jego wytworem były ongi „wieczorki wełniane," którymi tak zachwycała się Warszawa, a które nigdy nie istniały, on każe matkom rodzić sześcioraczki, hypnotyzerom usypiać pasażerów w tramwajach, rozwiedzionym małżonkom łączyć się po 40 latach przy jakiemś niebywałem spotkaniu, on zasnuwa życie nasze tkanką bajecznych i nieprawdopodobnych zdarzeń. Jest tylo ostrożny, że starannie omija ciekawość policyi, która z urzędu wymaga bliższych objaśnień tego lub innego faktu. Czy jednakże państwo X. z Warszawy istotnie pogodzili się na Wezuwiuszu, czy pani Y. rzeczywiście urodziła odrazu sześcioro dzieci — tego policya nie sprawdza i takie opowieści wędrują sobie w świat niezatrzymane śród zdumienia czytelników. Ale od czasu do czasu improwizator nieopatrznie wjeżdża na jej pole; wtedy zwykle pojawia się w odnośnem piśmie urzędowe sprostowanie, które zaprzecza zupełnie podanej wiadomości, Albo też sprowadza ono ją do takiej mniej więcej prawdy: „W numerze X. doniesiono, że dnia 00 o godzinie 0 wieczorem na ulicy Z. jakiś nieznajomy awanturnik bez powodu odgryzł nos naszemu znanemu archeologowi. Otóż po zbadaniu okazało się, że o tej porze na tej ulicy oficyalista kolei konnej utarł sobie nos." Kłamstwa te wywołują oburzenie, mojem zdaniem — niesłuszne. Nie przeczę, że ich autor, po kaszubsku „łgorz" marnuje uczucia swych czytelników i niepotrzebnie „szkli" — jak mówią zakopianie. Ale po za tym wątpliwej wartości przemysłem niepodobna odmówić temu „łgorzowi" ani talentu, ani nawet poniekąd dobrych chęci. On pragnie, ażeby życie wyglądało rozmaiciej, barwniej, ażeby Warszawa nie pozostawała w bogactwie objawów po za wielkiemi miastami Europy. I pismo, w którem on swe pajęczyny przędzie, usiłuje zachować minę „weltblattu" dobrze informowanego. Nieraz słyszymy zdanie: „*Kuryer* — to potęga." Zdanie to, w odniesieniu do wielkiego świata, ma takie znaczenie, jak gdyby ktoś na giełdzie londyńskiej powiedział: „Nelken — to potęga." Ten *Kuryer* jednakże usiłuje mieć znaczenie w dziennikarstwie, jak Nelken na giełdzie miejscowej. Cóż więc ma począć? W procesie Parnella z *Timesem* sąd zażądał szczegółowych wyjaśnień co do własności tego dziennika. Otóż wykazano, że *Times*, założony przed 100 laty przez Waltera, stanowi dziś własność przeszło stu osób, przeważnie należących do rodziny pierwszego fundatora. Obecny jego kierownik Walter IV posiada zaledwie $^{3}/_{23}$ części akcyj wydawnictwa, rządzi niem jednak wszechwładnie i tylko obowiązany jest składać uczestnikom rachunki co pół roku (u nas zmieniano by go co rok, a co kilka miesięcy pozywano każdego z kolei przed sąd polubowny). W ostatnich dziesięciu latach czysty dochód roczny wynosił przecięciowo 2,800,000 rubli (1 funt szterl. = 10 rs.). Naczelny redaktor pobiera 50,000 rs. pensyi, za artykuł płaci się średnio od 100—120 rs. Przy takich środkach można sobie sprowadzać telegrafem korespondencye z Indyj wschodnich, obrzucać kulę ziemską rojem reporterów, posiadać codziennie wszystkie ważniejsze nowiny z całego świata. Tymczasem co ma robić nasz biedniuchny *Kuryer*, którego czysty dochód roczny nie dosięga płacy korektorów *Timesa?* Czy można mu brać za złe, że nie mając za co trzymać pana Blowitza w Paryżu, trzyma sobie biednego Radziwiłka, który obowiązany codzień nakłamać torbę wiadomości, który hypnotyzuje tramwaje, płodzi sześcioraczki, tworzy „wieczorki wełniane" i w czasie powodzi topi kilkudziesięciu ludzi? *Man muss*

leben lassen a przeciwko łatwowierności przy czytaniu opisów o nadzwyczajnych wypadkach pamiętać o przestrodze reportera *Muchy*, którego towarzysz ostrzega, ażeby nie szedł w niebezpieczne miejsce, a on mu odpowiada: „Nie mnie brać na moje własne wiadomości.“

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

I.

ODPOWIEDŹ

na artykuł p. Lud. Krz. p. t. „O prawdę“ zamieszczony w nr. 13 „Prawdy“ z r. b.

W odpowiedzi na artykuł powyższy zaznaczam, co następuje:

1) W artykule „O prawdę“ p. Lud. Krz. gołosłownie czyni mi zarzut nieuctwa z powodu krytyki mej dzieła Morgana, pomieszczonego w roku bieżącym w *Bibliotece warszawskiej*, nie przytaczając na dowód swoich twierdzeń ani jednego mego poglądu, ani jednego mego argumentu, wskutek czego artykuł p. Lud. Krz. za przedmiot do poważnej, naukowej polemiki służyć nie może. Ja zaś oczywiście nikomu, a tembardziej autorowi pomienionego artykułu, monopolu wiedzy ani nauki nie przyznając, wyrokom, ferowanym bez żadnych motywów, słuszności ani racyonalności przyznać nie mogę. W nauce nie dosyć jest twierdzić, lecz trzeba dowodzić, argumentować, uzasadniać swoje poglądy, a oczywiście „wymyślanie“ dowodu na niekorzyść zwymyślanego stanowić nie może.

2) Pod względem sprawozdawczym artykuł p. Lud. Krz. jest niezgodnym z rzeczywistością. W krytyce Morgana *nie porównywam* dzieła Drapera z dziełem Morgana, gdyż treść obu tych dzieł jest zupełnie różną. O dziele Drapera wspominam tylko przy analizie pojęcia „postęp,“ wykazując, że Draper, pisarz o materyalistycznych tendencyach, rozumie dokładnie istotę postępu, jako pojęcia naukowego, Morgan zaś z pojęcia tego nie zdaje sobie sprawy, jakkolwiek w tytule dzieła Morgana widnieje wyraz „postęp.“

3) Mylnie twierdzi p. Lud. Krz., że ja czynię zarzut Morganowi-socyologowi z tego powodu, iż w dziele jego „historyi postępu niema ani śladu.“ Morgan dziełu swemu taki dał tytuł: „Społeczeństwo pierwotne czyli *badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.*“ Otóż, ponieważ w dziele Morgana „o kolejach ludzkiego postępu“ nic nie powiedziano, treść więc jego nie jest zgodną z przytoczonym powyżej tytułem, co też wykazałem w mej krytyce, a o czem łatwo się przekonać, przejrzawszy, chociażby pobieżnie, dzieło Morgana. Zarzut więc powyższy czynię nie Morganowi-socyologowi, lecz Morganowi, któren [1]) chce być historykiem i historyozofem, a w rzeczywistości nie jest ani jednym, ani drugim.

4) Niczem p. Lud. Krz. nie udawadnia, że ja wyśmiewam, a nie krytykuję, pogląd Engelsa. Przytoczenie słów moich w tym przedmiocie (w krytyce mej) wypowiedzianych wystarczyłoby do zbicia twierdzenia p. Lud. Krz. co do tej kwestyi.

5) Dana mi rada, jakoby pedagogiczna, niemająca nic wspólnego ani z krytykowanem przeze mnie dziełem Morgana, ani z moją krytyką, ilustruje tylko jednostronność poglądów p. Lud. Krz., któren sądzi, iż na mocy znajomości niektórych (w danym wypadku budowy mieszkań) materyalnych warunków bytu danego plemienia lub narodu, można odtworzyć całokształt moralnych, intelektualnych, politycznych i społecznych pojęć tegoż plemiona lub narodu. Na potwierdzenie tego poglądu, autor również nie przytacza żadnych argumentów, budząc podejrzenia, *iż tylko wie* o istnieniu podobnego poglądu, lecz nie zna przytaczanych na poparcie jego dowodów. Gołosłowne zaś twierdzenia nigdy w sferze wiedzy wartości mieć nie mogą i przedmiotu polemiki nie stanowią.

6) Taż sama gołosłowność cechuje daną *Bibliotece warszawskiej* admonicyę za to, że poważyła się wydrukować mój artykuł, nie pytając się o pozwolenie p. Lud. Krz.; wogóle irytacya p. Lud. Krz. świadczy, iż, wierząc w bezwględną „prawdę“ własnych przekonań, uważa je za jedyną kwintesencyę wiedzy i nauki, która przed nim kornie winna bić pokłony. Już sama jednostronność podobnego poglądu autora świadczy, jak mało znane mu są dzieje postępu nauki, której rozwój polega na zmianie i udoskonalaniu pojęć, stosownie do postępu myśli ludzkiej. Bezwzględna zaś prawda w sferze nauki dotychczas udziałem człowieka nie była, i nikt do wyłącznego posiadania jej pretensyi rościć nie może.

J. K. Dworzaczek.

II.

LIST OTWARTY

do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“.

Szanowna Redakcyo! W odpowiedzi na pomieszczoną powyżej odpowiedź p. Dw. zwracam się do Ciebie z listem otwartym. Muszę Ci przedewszystkiem przypomnieć istotną myśl mego artykułu z nr. 13 *Prawdy*. Punkt ciężkości spoczywał w zazuaczeniu faktu, iż nasza umysłowość od niejakiego czasu pogrąża się w coraz większem błocie nieuctwa i niesumienności. Dość powołać się na nasze przekłady naukowe, które są często tego rodzaju, iż uniemożliwiają korzystanie z tłomaczenia. Ten smutny objaw upadku zastanowił mnie, począłem więc zbierać ku temu materyały. Właśnie w tym czasie przeczytałem krytykę p. Dw. o Morganie w nr. 1 i 2 z r. b. *Biblioteki*. Uczyniła ona przykre wrażenie. Wiem, że nasze przekonania znajdują się na dwóch przeciwległych biegunach — Wasze na stałem i określonem stanowisku, moje znowu pozbawione tej bezwzględności, dzięki zerwaniu z tradycyjnemi wyjaśnieniami bytu i znalezieniu na ich miejscu nieprzeniknionych znaków zapytania. Mimo to sądziłem, że jesteście równie tego zdania, iż różnica przekonań nie zwalnia od obowiązków wiedzy i sumiennej krytyki (po za tym obrębem, w dziedzinie wypowiadania przekonań w każdej sprawie przyznaję prawo głosu nawet idyocie i waryatowi). Tymczasem w artykule p. Dw. znalazłem zupełny brak przygotowania, o czem, przynajmniej co do Morgana, mogę posiadać jakie takie zdanie, jak zaświadczyć mogą moje artykuły w ostatnich dwu numerach *Wisły*. Szanowny krytyk w jednym miejscu powiada (str. 127): „Istotnie nie wiele mówią o dziele Morgana itd.“ Tak było przed laty kilku, jakkolwiek już wtedy Giraud Teulon w pracy *Les origines du mariage et de la famille* (1884) oparł się głównie na poszukiwaniach amerykanina. W przeszłym jednak roku ukazały się dwie prace socyologiczne, z których jedna Lipperta pierwszorzędnej wartości. Letourneau w *Dziejach rodziny i małżeństwa* pod wpływem szkoły Morganowskiej zupełnie zrywa z dawnymi swymi poglądami; dzieło zaś Lipperta *Kulturgeschichte der Menschheit* nosi na każdym kroku ślady takiego wpływu. Należałoby p. Dworzaczkowi wiedzieć o wielu podobnych rzeczach, tymczasem mamy jaskrawe dowody, że wszystko to jest dlań nieznane. Korzystając z tej okoliczności, pomieściłem mój artykuł w nr. 13 *Prawdy*, w którym zresztą wyznaczyłem p. Dw. najzupełniej drugorzędne miejsce, używając jego śmiałości jedynie za żywą ilustracyę upadku naszej myśli. Nie chodziło mi tu o wykazanie, że posiadam jakąś bezwzględną prawdę, ani o „zwymyślanie“ przeciwnika, lecz tylko o to, że nie zdaje on sobie sprawy z przedmiotu, o którym rozprawia. Wziąłem pojedynczy przykład — znaczenie przedmiotowych warunków bytu i aby uzmysłowić je krytykowi, odesłałem go do pewnego ćwiczenia (patrz nr. 13) oraz do kilku dzieł, o których może sądzić, że znam je tylko z nazwiska, lecz które tem nie mniej mógłby z pożytkiem odczytać. Ponieważ mnie nie szło o przekonania czyjeś, lecz o fakty, wziąłem ludzi jak Play, których Panowie prawdopodobnie wysoce poważacie.

Obecnie p. Dw. raczył odpowiedzieć. Ażebyś Szanowna Redakcyo wraz z czytelnikami miała pojęcie, w jaki sposób, prosiłem Redakcyę *Prawdy* o niewykreślenie ani jednego słowa. Wyjmę z tej odpowiedzi znowu tylko ustępy, które dla naszego społeczeństwa mogą mieć znaczenie ilustracyi owego upadku. P. Dw. bardzo rozsądnie powiada: „W nauce nie dosyć jest twierdzić, lecz trzeba dowodzić, argumentować, uzasadniać swoje poglądy, a oczywiście „zwymyślanie“ dowodu na niekorzyść zwymyślanego stanowić nie może.“ Ma to się tyczyć mnie. Zgodnie w drugiem miejscu powiada: „Niczem p. Lud. Krz. nie udowadnia, że wyśmiewam, a nie krytykuję, pogląd Engelsa. Przytoczenie słów moich w tym przedmiocie (w krytyce mej) wypowiedzianych wystarczyłoby dla zbicia twierdzenia p. Lud. Krz. co do tej kwestyi.“ Czynię więc zadość temu życzeniu. Mianowicie wypisuję dosłownie z krytyki p. Dw. cały ustęp o Engelsie (str. 279, 280), opatrując go w dole przypiskami. Szanowna Redakcya może się przekonać, że nie dodałem ani opuściłem jednego słowa i znaku.

Czytamy tedy w pracy Marksa-Engelsa (str. 608): „o przebiegu dziejów rozstrzyga produkcya i reprodukcya życia bezpośredniego.“ Co to ma znaczyć? Engels objaśnia nas. Tu należy najprzód wybór środków do życia, pokarmów, odzieży, mieszkania i niezbędnych po temu narzędzi, następnie wytwarzanie samych ludzi — pielęgnowanie gatunku.“ Cóż tedy w tem wszystkiem ma być produkcyą, a co reprodukcyą życia bezpośredniego? A jakie też to jest życie pośrednie — jeśli istnieje jakieś życie bezpośrednie? Czy wogóle można żyć pośrednio? [1]). Co wreszcie znaczy cały ten kompleks wyrazów, pozbawiony wszelkiej logicznej łączności? Pozostawiając autorowi trudność łamania sobie głowy nad tym głęboko obmyślanym, głębiej jeszcze wyrażonym frazesem, przechodzimy do dalszych jego wniosków [2]). Jakich Engels używa efektów [3]), o tem przekonać nas może następujące jego zdanie (str. 610): „monogamiczna (rodzina), w odróżnieniu od wszystkich swych poprzedniczek, jest tworem stosunków społecznych i rozkwita na podścielisku, urzeczywistnionem przez parzystą, mianowicie wiarogodności ojcowstwa. Stanowi ona rozwiązanie pytania, powstałego wśród jej bezpośredniej zwiastunki: kto powinien przewodzić, ojciec czy matka, i czyje prawo, matczyne, czy ojcowskie, ma służyć za podwalinę dziedziczenia mienia i nazwiska? Rozwój stosunków ekonomicznych udzielił odpowiedzi na korzyść mężczyzny, gdy obalenie prawa matczynego odbyło się w zawisłości od wzrostu bogactw pozadomowych (trzody i stada). Przełom ten stanowi ogólno-dziejową klęskę płci żeńskiej, bo mężczyzna z nastaniem monogamii wydziera zwierzchnictwo w domu z rąk kobiety, ujarzmia (?) ją i zamienia na niewolnicę (?) swych żądz i prostą maszynę (?) do płodzenia dzieci.“ W przypisku na tej samej stronicy czytamy: „Monogamia nie posiada nic wspólnego z poczuciem indywidualnego uczucia miłości. Powstaje ono dopiero wśród niej, ale zgoła nie z miłości wzajemnej małżonków. Przeciwnie, u wszystkich czynnych historyczne warstw społecznych (tj. klas panujących) — więc zdaniem Engelsa klasy niepanujące nie są czynnie historyczne! [4]) — małżeństwo pozostaje zawsze (?) sprawą konwencyonalną, załatwianą przez rodziców. Pierwsze historyczne uczucie indywidualno-miłosne, rycerskie wieków średnich (więc w starożytności miłość indywidualna nie istniała?) opiera się na cudzołóztwie — jest to miłość ku cudzej żonie. I taką monogamia pozostała po dziś dzień, małżeństwo jest wciąż sprawą konwencyonalną, bardzo niewiele mającą do czynienia z uczuciem miłości (?). rodzina zaś spoczywa na podeptaniu praw płci jednej przez drugą. Mężczyzna przyznaje sobie prawo rozpasania płciowego, na żonę włożył obowiązek dochowywania wierności.“

Wobec takiego naigrawania się z podstawy bytu społecznego—z rodziny, nie może być mowy o zdrowej podstawie dobrobytu społecznego. Walka przeciw rodzinie i własności — tym dwom podwalinom bytu społecznego nie od dziś datuje swój początek, a już bardzo wiele jęków wydarła z piersi robotnika

[1]) Tak ten zaimek wyrażany jest w rękopisie p. D.

[1]) Rozbiór czysto z formalnej strony. Krytyk wziął jedno zdanie i zajął się rozbiorem logicznym, przytem opuścił cały ustęp (str. 608—609), gdzie Engels bliżej i jaśniej rozwija swą myśl.

[2]) Rycerskie „niewymyślanie.“

[3]) „Argumentowanie,“ „dowodzenie,“ „uzasadnianie poglądów“ za pomocą słowa: „efekt“ i w ciągu dalszym mnóstwa pytajników.

[4]) To samo za pomocą wykrzykników i w ciągu dalszym pytajników.

i potokami krwi zabarwiła dzieje ludzkości! Wobec niezrozumienia faktów historycznych, wobec lekceważenia rzeczywistości i realnych warunków rozwoju społecznego, nie ma pola do dyskusyi naukowej. [1])

Engels maluje nam barwny obraz stanu plemion, zorganizowanych w ustrój rodowy: „Bez żołnierzy i policyi, bez szlachty, królów i sędziów, bez procesów i więzień — wszystko przecież idzie torem prawidłowym“ (str. 611). Czy mamy tedy wrócić do owych czasów, gdy człowiek nie znał ani praw, ani nauk, ani uspołecznienia — ani cywilizacyi? [2]). To też Engels przepowiada zupełny upadek ustroju państwowego (str. 619) i węzłów społecznych [3]).

Na str. 624 czytamy: „Chrystyanizm napróżno woła, że on to swym wpływem wytępił niewolnictwo. Bynajmniej, było ono skazanem na śmierć, bo przestało się opłacać. Ale wymierając, pozostawiło w spadku przekleństwo: pogardę dla pracy.“

Jakto, więc nawet i temu chcą zaprzeczyć [4]), iż idea chrześcianizmu, wprowadzając między ludy miłość wzajemną i braterstwo, uznając człowieka równym w każdym stanie, wyrugowała dawną zasadę nienawiści plemiennej (contra hostes aeterna auctoritas esto), że wpłynęła na zniesienie niewoli? Czyż doprawdy podobne frazesa, bez żadnych dowodów na wiatr rzucane, zasługują nawet na poważne traktowanie. Doprawdy, że Morgan wart lepszego komentatora [5]).

To zakończenie Engelsa nie objaśnia w niczem dzieła Morgana jako pracy czysto etnologicznej, ani też z poglądami jego ogólnemi, wyrażonemi we wstępie, wcale nie licuje [6]).

Oto próbka, jak p. Dw. „argumentuje,“ „dowodzi,“ „uzasadnia“ i jak grzecznie obchodzi się ze swymi przeciwnikami. Daje nam to pojęcie mniej więcej o całej jego krytyce. Mamy tu próbkę jeszcze inną jego zachowania, o której poprzednio nie wspominałem — insynuowanie niewypowiadanych poglądów, z czem Szanowna Redakcya może się spotkać i w odpowiedzi na mój artykuł. Dość nadto przejrzeć nr. 4 tejże odpowiedzi i niektóre ustępy nr. 1 itd. i porównać z przytoczonym wyjątkiem z Engelsa, aby spostrzedz, że nasze nieuctwo przestaje być przyznającem się do czynu grzesznictwem, lecz w swej zuchwałości gotowe przekręcać fakty, obsypywać zawady błotem i każdemu przypisywać postępki sobie właściwe itd. Jest to jeszcze smutniejszy objaw. Źle, jeżeli ukazują się nieuki, lecz gorzej, gdy występują ze śmiałem czołem.

Rozszerzyłem się nieco przydługo w swym liście. Uczyniłem to jednak, Szanowna Redakcyo, w celu wykazania, że niebezpieczeństwo jest groźnem. Sądzę, że pojmiesz, czem to zagraża naszej i tak już lichej umysłowości [7]).

Ludwik Krzywicki.

---

[1]) „Naigrawanie się z podstawy bytu społecznego,“ „niezrozumienie faktów historycznych,“ „lekceważenie rzeczywistości“ — takiemi są dalsze „argumenty“ i „dowody.“ Wreszcie wszystko się kończy zdaniem, że niema tu pola do dyskusyi naukowej. Porównaj punkt 4 odpowiedzi p. Dworzaczka.

[2]) Gdzie Engels to powiedział? Krytyka winna znać poglądy przeciwnika i nie wdawać się w insynuacyę.

[3]) Insynuacya zbyt daleka, bo Engels „przepowiada“ tylko upadek tegoczesnej formy węzłów społecznych.

[4]) Ma to być „uzasadnienie“ etc. krytyka.

[5]) „Niewymyślanie.“

[6]) Wreszcie nieuctwo p. D. wylazło jak szydło z worka. Uczony krytyk bardzo się myli, bo Engels zgadza się dosłownie z wynikami badań Morgana itd. Rzecz cała w tem, że pomieszczone przy *Pierwotnem społeczeństwie* dopiski są tylko *streszczeniem* całego dzieła Engelsa, które istnieje i w polskiem tłomaczeniu, lubo z opuszczeniem ostatniego rozdziału niemieckiego oryginału, pod tytułem *Początki cywilizacyi.* Szanownemu krytykowi należy o tem wiedzieć. Krytykując Engelsa, powinien krytykować samo dzieło, lecz nie streszczenie.

[7]) Należałoby mi jeszcze przed publicznością oczyścić się z zarzutów nr. 2 i 3, lecz ponieważ to potrzebowałoby podobnych wypisków, jak z Engelsem, muszę zgodzić się, iż zarzuty w tej mierze ciążyć będą na mnie. Natomiast, ponieważ znaczenie przedmiotowych czynników w rozwoju społecznym jest dość ważne, sądzę, że w przyszłym numerze Redakcya *Prawdy* nie odmówi mi głosu w tej sprawie.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Komisya rolnicza pod przewodnictwem senatora Plewego przyjęła projekt Kryworzeina o urządzeniu elewatorów zbożowych. P. K. oświadcza się przeciw oddaniu ich do eksploatowania kolejom.

Poczta. Wkrótce ma być zaprowadzona reforma na wzór zagranicy przy odbiorze listów pieniężnych. Sumy nie przewyższające rs. 50, adresanci będą mogli odbierać w domu, tak jak listy rekomendowane.

Telefony. *Kur. warsz.* donosi, iż projekt połączenia telefonicznego Petersburga z Berlinem, Moskwą i Warszawą, popierany przez towarzystwo finansowe francusko-ruskie, stanowczo przychodzi do skutku. Obecnie prowadzone są studya techniczno-przygotowawcze pod kierunkiem p. Henryka Merczynga. Minimum rozmowy będzie pięć minut, koszty zaś jej 5 rs., tj. w stosunku 1 rs. za minutę.

Gorzelnictwo. *Graždanin* donosi, iż poruszoną niedawno sprawę zakazu wznoszenia w miastach gorzelni nowych, oraz tworzenia się spółek dla prowadzenia gorzelni, uznano za bezpodstawną. Natomiast postanowiono zabronić budowania dużych gorzelni z produkcyą 200,000 i więcej wiader; pozwolenie zaś na otwieranie gorzelni z produkcyą 100—200,000 wiader uczynić zależnemi od ministrów: skarbu i dóbr państwa.

Handlarze drobiu uzyskali w departamencie dróg żelaznych w Petersburgu zniżenie taryfy za przewóz do Prus kolejami tutejszemi ptactwa bitego.

Wystawa. Towarzystwo ekonomiczne w Petersburgu urządza w jesieni r. b. wystawę wełny i przedmiotów mających związek z hodowlą owiec.

Przemysł krajowy, dwutygodnik fachowy zaczął wychodzić we Lwowie pod redakcyą Dyonizego Kośnierskiego. Ma on być organem wszelkich spółek przemysłowych, a zarazem pośredniczyć pomiędzy wytwórcami i spożywcami.

Bibliografia. K. Kleczkowski, *Obrazki i ramki*, z wrażeń karnawałowych, Warszawa, str. 135.

Dr. Ignatowski, który zmarł przed kilkunastu dniami, zostawił po sobie dobrą pamięć. Urodził się 1805 r. w Lublinie. Uniwersytet kończył w Warszawie, doktoryzował się w Wilnie rozprawą „O cholerze azyatyckiej,“ cenną w one czasy. Następnie służył w wojsku, gdzie otrzymał ordery: Virtuti militari i Krzyż zasługi. W r. 1832 osiadł w Warszawie, w r. 1836 w Ciechocinku; tu pozostawał do końca życia. W ostatnich latach nie praktykował. Rozwój Ciechocinka, założenie pierwszego zakładu kąpielowego, kościół, instytut itp. — to owoce jego działalności. W r. 1870 obchodzono tam uroczyście 50-letni jego jubileusz. Ign. był duszą zakładu, wesoły, dobry, uprzejmy, zacny. Majątku nie zrobił. Osierocił dwoje młodych jeszcze dzieci, gdyż bardzo późno się ożenił. Popularnie zwano go „księciem na Ciechocinku.“ Oprócz rozprawy przetłomaczył dzieło Wendta „O chorobie przymiotowej,“ nadto ogłosił prace własne o wodzie słonej ciechocińskiej, sprawozdania coroczne o chorych itp. Był doskonałym mówcą, pełnym humoru; rozsądnym i dobrym ojcem.

Zmarli. Stanisław hr. de Rochetin, polak, inżenier-górnik, w Konstantynopolu. Ur. w Królestwie 1840 roku. Mieszkał przez pewien czas w Szwajcaryi. W r. 1864 osiadł w Konstantynopolu. Tam badał na własną rękę bogactwa mineralne Turcyi. W r. 1888 uzyskał firman na towarzystwo górnicze p. Société Hamidži. Poświęcał się publicystyce.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Damonowi. „Pessymizm“ nię dla nas — zbyt powierzchowny.

Panu A. Gaj. w K. Utworowi Pańskiemu brak zupełnie opracowania artystycznego.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 50.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską). — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 31 Марта 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.